

№ 200-

Egz. archiwalny IBE

Handwritten text at the top of the page, possibly a title or page number, which is mostly illegible due to fading and bleed-through.

H. M. Fikhan

Z PAMIĘTNIKA
MŁODEJ ŻYDÓWKI

przez

Salomeę Perl

◀ odbitka z „Izraelity” ▶

WARSZAWA

Druk Lepperta i S-ki, Elektoralna 8.

1895.

INSTYTUT
BADAŃ LITERACKICH PAN
BIBLIOTEKA
00-330 Warszawa, ul. Nowy Świat 72

Tel. 26-68-63

<http://rcin.org.pl>

Дозволено Ценаурою.
Варшава, 16 Января 1896 года.



22.404

Urodziłam się w powiatowem mieście X. Byłam jedynem dzieckiem u swych rodziców, ludzi niemających, lecz uczciwych i dobrych. Ojciec mój wśród spółwyznawców swoich słynął był z pobożności, z jaką rytualnych przestrzegał przepisów, oraz z nauki talmudycznej, jakiej nie jeden uczony rabin by mu pozazdrościł. Lecz mimo to, fanatykiem i zacofańcem nie był, znał życie i świat, żydów i chrześcijan, z którymi to ostatnimi długie nieraz na temat świecki, lub wyznaniowy, miewał dyskusje.

Ojca swego kochałam namiętnie. On też uważał mię za jedyny swój skarb na ziemi, za główne ogniwo, co go do życia przykuwało. Gdy dzieckiem byłam, brał mię często na kolana, pieścił się ze mną czule, a matka, pochylając się nademną, cieszyła się wraz z nim i nowe coraz wdzięki odkrywała w młodocianej mojej twarzy.

— Benjaminie! — mawiała nieraz; — patrz, jak nasza Rachela z dniem każdym więcej rozkwita, jak z każdym dniem ten nasz pączek jaskrawsze rozwija barwy. Oby go tyl-

ko wicher przedwcześnie nie złamał, oby mu nie zaszkodziło zimno świeżego, rannego powietrza.

— Nie trwóż się, — odpowiadał ojciec, — delikatnej tej roślinie nie stanie się nic złego. Przy ciepłe rodzicielskiej naszej miłości rozwiną się bardziej jeszcze jej wonne listki; przytulona do kochającego ją serca, będzie się ona czuła przy niem jak w cieplarni, gdzie powiew żaden z zewnątrz jej nie dosięgnie.

Słyszając te słowa przyjazne, których doniosłość pojmowałam więcej instynktowo, skłaniałam ku rodzicom główkę, obejmowałam rączkami ich szyje, podobnie jak giętki powój, opierający się na silniejszej roślinie.

Nie będę się rozwodziła nad szczegółami pierwszych lat życia mojego, ani wspominała ważniejszych wypadków epoki tej, w której wszystko zresztą tak ważnem i wielkiem dziecinnemu przedstawia się pojęciu. Powiem tylko tyle, że lata owe przeszły spokojnie i pogodnie, jak jeden dzień majowy, przepłynęły, jak cichy strumyk. Wesoła i swobodna, cieszyłam się ze wszystkiego: z lalki, którą mi kupić dopiero miano, z zabawek, oraz z bajki o zaklętej księżniczce, lub też z innych tej podobnych baśni, o jakich służąca nasza, Jenta, tak zajmująco opowiadać umiała. Cieszyłam się z tego, że wkrót-

ce święta nadejda i nową otrzymam sukienkę, nowe mi pantofelki kupią, jak niemniej z tego, że w sobotę odświętne włożę ubranie i, wystrojona, wybiegnę na spotkanie mamy, ze synagogi wracającej, i pierwszą ją „dniem sobotnim“ przywitam, a ona z uśmiechem za rękę mię weźmie, do mieszkania wprowadzi, za suto zastawionym stołem usadowi i konfiturami, miodownikiem, oraz innymi ucześnie przysmakami. A myśląc o tem, zawczasu przytupywałam nóżkami i w rączki klaskałam, bo dzień sobotni zwykle był dla mnie dniem wesela i swobody, w którym wszystko w mieszkaniu się ożywiało i świąteczną przybierało cechę. Na każdej twarzy dnia tego widniał spokój i zadowolenie: praca ustawała, znikaly troski, zgoda i miłość ściślej serca łączyły.

Tak pasmem nieprzerwanem zabaw i przyjemności doszłam do lat dziesięciu. Wówczas po raz pierwszy rodzice moi przyjęli do mnie nauczyciela żydowskiego, który miał nauczyć mię czytać i pisać po hebrejsku. Z wielką się też przyłożyłam do tego chęcią i po krótkim bardzo czasie czytać dość już składnie zaczęłam. Wielkie było zadowolenie moje, gdy po kilkunastu miesiącach nauki byłam w stanie sama w modlitewniku zmówić modlitwę, którą dawniej codziennie za mamą powtarzać musiałam. Nauczyłam się

obok tego czytać i nawet mówić po polsku, rozwiązywać zadania podług czterech działań arytmetycznych i znałam pobieżnie dzieje historyczne plemienia swojego. Pedagog mój przeto, widząc szczupły swój zasób wiedzy wyczerpanym, oświadczył, że kurs nauki mej już ukończony.

Miałam lat czternaście; gdy pierwsze piętro kamienicy, w której od lat wielu mieszkaliśmy, zajął pan Glas, bogaty kupiec, z rodziną. Różnił on się od innych spółwierców swoich mową, manierami, a nadewszystko suknią, która modnym swym krojem wyraźnie odbijała od zwykłych, długich chałatów, przez innych żydów noszonych. Nazywano go ogólnie „niemcem” i miano mu za złe, że dzieci swe wychowywał w sposób nowomodny, niemiecki, jak to nazywano. Tem niemniej jednak nie odmawiano mu szacunku, ponieważ był to człowiek bogaty i wpływowy, który szczupłe fundusze miejscowego kahału nieraz hojnemi zasiliał datkami.

Rodzice moi, aczkolwiek z pełnem o zasługach państwa Glas wyrażali się uznaniem, sąsiedzkich z nimi jednak nie zawiązali stosunków, trzymając się raczej zdala i z pewną nieufnością. Równie i tamci żadnych ze

swojej strony nie czynili w tym kierunku zabiegów, by pierwsze lody przełamać i bliższą zawrzeć znajomość, na której im zresztą bardzo mało zależeć mogło, ponieważ byli to ludzie bogaci, z dystynkcją, którzy dom swój na pańską prowadzili stopę.

Wiek dziecinny przesądów i ceremonij niezna. Wkrótce zaznajomiłam się z Andzią Glas, która szczerze mi się podobała. Była w równym ze mną wieku, a twarzyczka jej wdzięczna pociągała wyrazem szczerości i łagodności. Schodziłyśmy się często w ogródku, który poza domem się znajdował, a najulubieńszem miejscem naszych schadzek była altanka, piękną ocieniona jabłonią. Tak razem siedząc z robótką w ręku, bawiłyśmy się rozmową, którą zresztą głównie Andzia podtrzymywała, ja zaś najczęściej ograniczałam się na uważnem słuchaniu. Dzieje, jakie mi opowiadała, budziły całą moją ciekawość i nie śmiałam odezwać się, by wątku opowieści nie utracić. Opowiadała mi ona o sobie, zajęciach swoich, naukach i nauczycielach; powtarzała zdanie tychże o tem, jak nauka potrzebna człowiekowi, jak ona go wyszlachetnia i rozwija; że człowiek takowej nie posiadający, bywa ogólnie w świecie pogardzony i lekceważny, że zatem usilnie starać się trzeba rozum oświecić i wiedzą zbogacić, bo jestto bogactwo, wartujące

więcej, aniżeli złoto i srebro. Opowiadała również i o tem, co sama z książek wyczytała: o różnych odkryciach, wynalazkach, bohaterach, — a wszystkie te szczegóły miały dla mnie urok niewypowiedziany, pociągały mnie samą nowością swoją. Przedemną odślaniał się świat nowy, który uroczemi migotał kształtami, po głowie poczęły mi się snuć nowe myśli, co trapiły mnie samą formą nieokreśloną. Poraz pierwszy w życiu poczułam brak jakiś, pustkę, bezcelowość. Robótka mi nie wystarczała, robiłam ją mechanicznie, by palce zatrudnić, dzień zabić, i wsłuchana w tęskne odgłosy, co budziły w duszy mojej nowe, niejasne jakieś pragnienia, myślą usiłowałam zgłębić to, co mi się odrazu zaczęło wydawać niepojętem i zagadkowym.

Dotychczas nie przyszło mi nigdy na myśl zastanowić się nad tem, dla czego rodzice moi nie posyłali też i mnie do szkół, podobnie rodzicom chrześcijańskim, których dzieci każdego poranku widywałam przechodzące z książkami mimo okien mieszkania naszego. Nie zastanawiałam się, gdyż było to dla mnie rzeczą obojętną, na porządku dziennym u nas będącą. Wszak żadna z rówieśnic moich, z którymi bliższa łączyła mnie znajomość, nie umiała więcej odemnie; przeciwnie, pewnego nawet wśród nich używałam

miru, pewną cieszyłam się wyższością, dla tego, że najdelikatniejsze robótki zręczniejsze od wszystkich innych wykonać umiałam.

Lecz teraz opowiadania nowej mojej towarzyszki, która wiadomością tyłu imponowała mi rzeczy, odrazu nowe obudziły we mnie pragnienia. Uczułam pewne upokorzenie na myśl, że wobec młodej mojej przyjaciółki gram rolę dziewczyny wielce ograniczonej, o niczem nie mającej pojęcia. Uczucie to było zbyt bolesne. Zapragnęłam stanąć na równi z Andzią, pokazać, że niemniej od niej jestem zdolną, że niemniej posiadam wiadomości.

Po niejakiem wahaniu poprosiłam przeto Andzię, ażeby mi z książek swoich dała którą do przeczytania, i otrzymawszy taką, z całym zapalem czytaniem się zajęłam. Godzinami całemi siedząc, starałam się zgłębić znaczenie pojedynczych wyrazów i pojąć myśl w nich zawartą, co mi się nieraz z wielką udawało trudnością. Natenczas czułam się dumną z każdej nowopokonanej trudności, z każdego noworozwiązanego w książce ustępu.

Lecz najczęściej w głowie panował chaos, wyrazy migotały przed oczyma, a myśli i związku onych nie mogłam na żaden sposób uchwycić. Wtedy dłońmi obejmowałam czoło rozpalone i ścisiskałam je mocno, jakby

obęcza, i wszystkie wyteżałam władze umysłu, trüdne chcąc zbadać pytanie, lub słowo niejasne zrozumieć. Niezrażona pierwszemi jednak trudnościami, pracy rozpoczętej porzucić nie myślałam. Przeciwnie, z każdą nową książką większej nabierałam ochoty i większą czułam ciekawość poznania tego wszystkiego, co za mglistą jakąś kryło się zasłoną! Z całej duszy pragnęłam rąbek zasłony tej uchylić i rzucić okiem poza nią w ten świat tajemniczy, taki, zapewne, piękny, tak czarujący. Pojąć nie mogłam wówczas, dla czego i inni tego samego nie doświadczali uczucia, dla czego rodzice moi o tym zakrytym dla nich nie wspominali świecie i nigdy chęci poznania onego nie wyrażali. Czyniliż to przez nieświadomość, upór, lub zaślepienie? I nie mogłam sobie dać odpowiedzi.

Obecną nieraz bywałam przy tem, gdy nauczyciel Andzi tłumaczył jej różne zjawiska i prawa przyrody, życie zwierząt, owadów, lub roślin, a ja, z wielkiem słuchając zajęciem, chwytając chciwie każde słowo, każdą uczynioną uwagę, każdą myśl poważną. A później, za wejściem do ogrodu, innem zupełnie poglądałam okiem na otaczające mię drzewa i kwiaty, pragnąc na własne uszy usłyszeć to tętno życia, co całą naturę przenikać miało. Schylałam się nad kwiat-

kiem i z lubością do wonnego jego zaglądałam kielicha, chcąc odkryć w nim tajemniczy jakiś ruch i tchnienie; a widząc pełzającego po ziemi robaczka, bałam się zdeptać go nogą, bo widziałam w nim twórczy, czuciowy i pewnym pojęciem obdarzony.

Tak rozwijałam się umysłowo, lecz żywej bez porównania dojrzywałam fizycznie. W szesnastym roku miałam kształty zupełnie już zaokrąglone i rozwinięte. Byłam wzrostu słusznego, o zgrabnej kibici i zręcznych ruchach, i za ładną mogłam uchodzić dziewczynę. Niekiedy oczy matki z wyraźnym na twarzy mojej spoczywały upodobaniem i czytałam w nich: jakaś ty ładna! Lecz często także w oczach tych widniała zaduma i dziwny niepokój jakiś, dziwna troska malowały się w rysach łagodnej tej twarzy. Często urywała nagle z ojcem rozmowę, gdy niespodzianie wchodziłam do pokoju, lub prowadziła ją dalej półszepem, nie mogąc widocznie nad żywym zapanować wzruszeniem.

Dnia pewnego Andzia z miną radosną oznajmiła mi, że w skutek świeżo otrzymanego listu z godziny na godzinę oczekują w domu brata jej, Gustawa, który pięknie zdał egzamina i wraca teraz do domu na letnie wakacje. Lubiła go bardzo. Wpraw-

dzie nieraz bywa nieznośny, bo taki sensat z niego, i ja, Andzię z góry traktuje, ale ona mu się często upornie odcina, nie daje sobie kołków na głowie ciosać i zmusza luminarza medycyny do ugięcia karku pod prostej dziewczyny jarzmo.

Zaśmiała się.

-- O! musi mnie słuchać, bo jak mu nie dam klucza od kredensu, nie będzie miał czem zapał swój krasomówczy podsycać. Bo też wielki z niego mówca i właściwie Gustaw z powołaniem swoim się ominął, gdyż i koledzy jego utrzymują, że powinien był kaznodzieją zostać. Ale widzisz, Rachelo! rodzice skłonili go do obrania wydziału lekarskiego, gdyż lekarz zajmuje stanowisko w świecie i ma zawsze kawałek chleba zapewniony. Gustaw bronił się długo, inne bowiem miał myśli i dążenia. Rodzice nazywali go zapaleńcem, entuzjastą, bo dawniej, uczniem jeszcze będąc, powtarzał, że ducha swego w ciasne ramki specjalności zawodowej nie wtłoczy, że duchem swobodnym cały świat wiedzy obejmie, we wszystkich dziedzinach i kierunkach.

Ja słuchałam Andzi ciekawie, mało, lub wcale wywodów jej nie rozumiejąc.

Pewnego, pięknego poranku zatoczyła się przededrzwi domu naszego bryka podróżna,

z której żywo wyskoczył młodzian, lat dwadzieścia jeden mieć mogący. Wyjrzałam oknem. Widziałam, jak Andzia wybiegła na spotkanie brata, jak za nią z otwartymi ramionami podążyli rodzice. Patrzałam nie bez wzruszenia na czułą scenę przywitania, odegrywającą się przed okiem mojem i w duchu mimowolnie niemniej serdecznie przybywającego pozdrawiałam.

Dnia tego Andzia do ogrodu nie przyszła, trzeciego dopiero za wejściem do altany ujrzałam ją siedzącą z bratem na darniowej ławeczce. Przystanąłam. Onieśmielona widokiem Gustawa, chciałam się już cofnąć, gdy Andzia, jednym skokiem stanąwszy przy mnie, pochwyciła mą rękę i mimo oporu z mej strony pociągnęła za sobą.

— Patrz, Gustawie!—zawołała;—przedstawiam ci przyjaciółkę moją i towarzyszkę zabaw. Tu, w tej altanie, nie jedną razem przyjemną spędziłyśmy godzinę, nie jedną też przegawędziłyśmy wesoło o tobie i twoich kolegach. Bo wiedz, mój kochany, że Rachela zna cię oddawna już z opisu mego i bardzo życzyła sobie poznać cię wreszcie.

Spójrzałam na niego zmieszana i spotkałam wzrok jego ciekawie utkwiony we mnie. W całym jego ułożeniu było wiele wytworności, nieco nawet fanfaronady młodzieńczej, lecz w oku jego widniała inteligencja, oraz

miętkość jakaś przebijała w rysach twarzy, czyniąc miłe wrażenie. Pomimo to nie śmiałam się doń zbliżyć; coś, jakby bojaźń, sprawiało, że nader chętnie byłabym powróciła do domu.

U starowierców żydów zwyczaj nie przyjęty, ażeby panny obcowały z mężczyznami; nic przeto dziwnego, że na widok młodego człowieka odbiegła mię zwykła swoboda i nie byłam w stanie słowa przemówić. On wstał i podał mi rękę, poczem uprzejmie przemówił. Nie mówiłam dość czystą polszczyzną i z tego powodu czułam się mocno zażenowaną, lecz on, jakby tego nie spostrzegając, bez najmniejszej ironji ciągnął dalej.

Opowiadał dzieje z podróży, ze stolicy, z życia koleżeńskiego w gimnazyum i uniwersytecie; potraçał o przedmioty naukowe, o których ja najmniejszego nie miałam pojęcia, zadawał mi pytania, na które odpowiedzieć nie umiałam. Czułam się upokorzoną i zawstydzoną, lecz wybawiła mię z kłopotu Andzia, która, zagadnąwszy o coś brata, zwróciła rozmowę w inną stronę.

Przez całą resztę dnia tego dziwnie byłam pomieszana. Zgryźliwe jakieś uczucie zawstyżenia, trwogi i niepokoju naprzemian dręczyło mię i niepokoilo. Pamięć Gustawa, jego słów, zwróconych do mnie zapytań, nie-

właściwych moich odpowiedzi, na każdym kroku, w każdej chwili ściagała mnie i urągała mi się wielitościwie. Bo jakżeż nierozsądną wydawać mu się musiałam! Stałam przed nim z wytrzeszczonemi oczyma, ze ściśniętymi ustami, jakbym nie rozumieć, na nic odpowiedzieć nie mogła. A przecie rozumiałam go. Mówił o nauce, o świecie i ludziach, o zwyczajnych nawet rzeczach, lecz każde słowo tchnęło zapalem i uczuciem, każde jego zdanie nową jakąś, piękną odsłaniało mi prawdę. A obrazy przyszłości, jakie roztaczał, tego przyszłego społeczeństwa, tego świata umysłowego, — słuchałam go ze wstrzymanym w piersi oddechem, nad wzruszeniem zapanować nie umiejąc i — nie nie mówiłam. Bo też nie mówić nie mogłam, Wszystko to było dla mnie tak obce dotychczas, nieznane, dalekie. Nowy świat, nowe idee.

Tak przeszło kilka tygodni. Schodziliśmy się często w ogródku, chroniąc się od gorących promieni słonecznych do cieniejszej altany. Raz wycieczkę do poblizkiego odbyliśmy lasu, z kąd pełne kosze nanieśliśmy jagód, grzybów i orzechów. Gustaw był dla mnie zawsze grzeczny i wiele okazywał mi przychylności, ja zaś w jego towarzystwie siedziałam najczęściej milcząca, trwożna, zasłuchana we dźwięk słów jego, niby w rajską muzykę.

Dnia pewnego siedzieliśmy wszystko troje na trawie ogrodowej. Ja wyszywałam na kanwie, Andzia inną jakąś miała robotę, a Gustaw, wpołleżąc na trawie, głową o drzewo oparty, czytał książkę, której treść całą jego widocznie uwagę zajęła.

— Gustawie! — przerwała mu Andza czytanie, — przykrzy nam się milczenie i nieruchomość twoja. Daj pokój książce! patrz jak tu ładnie w naturze, rzuć przeto martwą literę i żywym słowem przemów.

Jakby zbudzony, podniósł oczy z nad książki i w przestrzeni je utkwił. Machinalnie ręką potarł czoło.

— Zbudź się bracie! — zaśmiała się Andzia, — zbudź się, bo już kury dawno zapały.

Gustaw się uśmiechnął.

— Może mają słuszność koledzy, — wyrzekł, — że mnie pijakiem i morfinistą nazywają, bo przyznaję, że w pewnych razach litera drukowana ma dla mnie siłę morfiny, która, o ile w większej spożywana dozie, o tyle mocniej zmysły upaja. Lecz w tem upojeniu dobrze się czuję. Dusza w owe chwile wznosi się wysoko, do sfery wyższych uczuć i rozkoszy, a padół ziemski ze swym brudem i fałszem gdzieś się w oddali rozplywa. Należy szczerze żałować tego, kto ma umysł uspiiony i duszę do ziemi przykutą, kto, nie zdolny do wyższego polotu

myśli i uczuć, jak robak, pełza po niskim poziomie niskich dążeń i namiętności. W żylach jego stanowczo niema gorącej krwi człowieka, lecz jakaś ciecz biała, ślimacza, nie rozgrzewająca serca, nie wlewająca w nie ognia prawdy i boskiej nauki. Nauka jest prawdą, albo raczej kluczem do tej ostatniej; przez nią poznajemy wszelkie piękno, ona odsłania przed nami czarujące obrazy, ona budzi w nas porywy szlachetne, idealne; ona też krzewi wiarę w dobro i celowość świata, w wyższe zadanie człowieczeństwa.

Twarz mu się ożywiła rumieńcem zapału, oczy świeciły ogniem szlachetnym i pięknym; zamyslił się. Patrzałam w niego, jak w tęczę i czułam, że mi coś piersi rozsadza: jakieś pragnienie gwałtowne, niepowstrzymane, jakaś myśl nieprzeparta.

— Czy wiesz Andziu,—ciągnął Gustaw,—który z darów natury najwięcej cenić powinniśmy?—Światło. Wyobraź sobie, jakbyśmy wszyscy po omacku pełzać musieli, gdyby wkoło nas wieczna noc panowała, jakibyśmy sobie fałszywe o całym wszechświecie wytwarzali pojęcia. Nie byłoby barwnego kwiecia, ani jasnego błękitu, ani srebrzystej wód przezroczy, nad całą naturą zawisłaby czarna, nieprzejrzysta zasłona. Widzisz, Andziu! czem światło fizyczne dla oka, tem oświata dla umysłu ludzkiego. Jest ona si-

łą, która może równie noc w dzień, chmurę w złoty obłok zamienić.

Krew obfitą falą z pod serca mi trysnęła, nie mogłam spokojnie usiedzieć; pragnęłam przemówić, wyrzucić z siebie to, co pragnieniem rozsadzało mi piersi.

— O! jabym się tak uczyć chciała; — zawołałam. — Jabym chciała pozbyć się swej ciemnoty, zaczerpnąć ze źródła prawdy, ale jak? panie Gustawie! naucz mnie, jak?

Byłam bardzo wzruszona, prawie mi tchu w piersiach zabrakło.

Gustaw patrzył na mnie okiem tęsknem, zamyślonem. Dziwny wyraz przemknął po jego licu, ujął moją rękę.

— Chcesz światła?—mówił—i myślisz, że je tak łatwo zdobyć można. Nie wyobrażasz sobie, ile walk, ile trudności stoczyć musi duch ludzki, nim pierwszy jego promień ogląda. Czujesz że ty się na siłach, panno Rachelo? masz-li mocne postanowienie zwalczania przeszkód, lub jestże to u ciebie chwilowy kaprys rozpieszczonej jedynaczki?

— Nie chwilowy kaprys,—zawołałam, — to chęć szczerą, gwałtowną. Łaknę nauki, pragnę wznieść się umysłem ku tym ideałom życia, o jakich pan tak pięknie mówisz, ujrzeć je, poznać i pokochać.

— One są piękne i wzniosłe,—z uczuciem

powiedział; — pokochasz je, panno Rachelo! Lecz przede wszystkim, ażeby je poznać, potrzeba wyrzec się fałszu i obludy, potrzeba pracować z zapalem, uczyć się gorliwie.

— Ja pracować i uczyć się będę, — wyrzekłam z mocnem postanowieniem.

— A rodzice, — zapytał, — cóż oni na to powiedzą?

— Rodzice moi, — odparłam, — są dobrzy i kochają mię bardzo. Ojciec mój — to nie prosty żyd chałatowy, za jakiego go pan masz niezawodnie, lecz człowiek świątły i rozsądny. Sprzeciwiać się nie będzie, gdy mu powiem, że nieuctwo zaczyna mi ciężyc, że uczyć się pragnę, że mi to do szczęścia, do zdrowia potrzebne.

— Dobrze więc! — wymówił z zapalem, — będę twoim nauczycielem. Witam cię przeto, panno Rachelo, jako moją uczenicę, jako siostrę we wspólnej świątyni, w świątyni wiedzy i nauki. Witam w tobie przyszłą onych kapłankę, oraz krzewicielkę pomiędzy prostymi i ciemnymi, nauka bowiem — to wiara, na którą przede wszystkim zacofanych spółbraci gorliwie nawracać powinniśmy.

Spojrzałam na niego zdziwiona, nie rozumiejąc słów jego, a on ciągnął dalej:

— Nauka — to wiara jedyna, która właściwie wierzyć nas uczy. Wierzyć w moc i potęgę ducha, wierzyć w nieśmiertelność

i nieskończoność, wierzyć nareszcie w ludzkość i braterstwo. Bo gdy nauka wszystkie umysły obejmie, wtedy cała ludzkość połączy się w jednym, braterskim uścisku i w tej spójni zapomni o rozterkach, waśniach i bitwach. Wszelka różnica zniknie, bo treść zaciśni literę, a duch nad formą zapanuje.

Skończył mówić, a ja, wsłuchana w słowa jego, co ciągle jeszcze brzmiały mi w uszach, podałam mu rękę.

— Dzięki panu, — rzekłam ze wzruszeniem.

Tego samego jeszcze wieczora powiedziałam rodzicom o swoim postanowieniu. Matka moja obojętnie kiwnęła głową, ojciec zaś spojrzął na mnie badawczo, z wyraźnym niepokojem.

— Chcesz się uczyć, Rachelo? — zapytał, — mianowicie czego?

— Wszystkiego, ojcze! — zawołałam z zapalem, — wszystkiego. Gustaw uczyć mnie będzie; on odsłoni przedemną to, czego dotychczas nie znam: ten świat piękny, o którym my, żydzi, pojęcia nie mamy; da mi poznać prawdę, ideały; on mię oświeci i wykształci.

Ojciec mój głowę oparł na rękę, a oczy jego, smutne i łagodne, pełne były nieopisanego jakiegoś wyrazu.

— Rachelo! — wyrzekł, — daj pokój nauce, pozostaj tem, czem dotąd byłaś: żywem,

lubem dziewczęciem. Do czego ci książki i ten świat nowy, który ci one niby odsłonić mają? Nie bałamuć sobie głowy nowymi obrazami, które umysły na błędne najczęściej naprowadzają drogi. Zajmij się robotką lepiej, a będziesz miała dosyć, jak na skromną stanu naszego dziewicę.

— Nie, ojcze! nie mów tak, — rezolutnie odparłam; — bo czuję, jak bardzo jestem ograniczoną, bezmyślną. Co ja wiem o świecie, o nauce, o wiedzy?—nie zgola, najmniejszego o tem wszystkiem niemam pojęcia. Umysł mam nierozwinięty, myśl skrepowaną, jak nowonarodzone niemowlę w ciasnych powijakach. Mieć lat siedemnaście i nic nie umieć—to zgroza, ojcze!

— Tak straszego w tem nic nie ma,— rzekł ojciec nawpół z uśmiechem; — zresztą, umiesz dosyć, nie mniej od towarzyszek swoich.

— Od jakich?—zapytałam,—czy od tych, które nic wcale nie umieją? Ale, ojcze! gdy siebie przeciwstawiam Andzi, która przecie w równym ze mną wieku, to się ze wstydu prawie płonę. Ileż to ona posiada wiadomości, ileż przeczytała książek, jakich ja z nazwy nie znam nawet; a rodzice, zamiast jej bronić, sami oświatę, jako najwyższe dla niej dobro, zalecają. A Gustaw, gdybyś wie-

dział, ojcze! jak namiętnie się on do nauki garnie, jak jej wciąż poszukuje i łaknie.

— I dobrze czyni, — przemówił ojciec ciszszej nieco i jakby w zamyśleniu. — Natka sama przez się jest pierwiastkiem szlachebnym, a dla młodego człowieka potęgą i siłą. Ona uzaenia mu ducha i na wyżyny go wynosi, nauka, sama przez się, jest cnotą.

— Cnotą? — przerwałam; — ojcze! dla czegoż zatem mnie cnoty tej posiadać nie wolno?

— Bo nie jesteś mężczyzną, Rachelo! a co w mężczyźnie zaletę stanowi, w kobiecie wadą nieraz stać się może. Widzisz, na świecie różne wypadki się wysnuwają i często jedna i ta sama rzecz raz bywa czynnikiem szczęścia, podniętą dobrego, to znowu przyczyną zniszczenia, hasłem do złego. Ty tego nie pojmujesz, bo jesteś młodą, niedoświadczoną; lecz pomyśl, dziecko moje, że ja stary, znam lepiej od ciebie życie i świat, lepiej też wiem, co dla szczęścia twego potrzebne. Przeto powtarzam: daj pokój nauce, pozostań taka, jaką dotąd byłaś, Rachelo!

— Nie, ojcze! — ze łzami zawołałam, — nie mogę. Wstydzę się, że jestem tak ciemną, nieoświeconą, ja uczyć się pragnę.

— Ależ, Rachelo! ty umiesz dosyć jak na żydówkę, stanu naszego dziewicę. Do czegożby cię wyższa nauka doprowadzić zdo-

łała? Niepotrzebna ci ta oświata, która zdaleka górne jakieś ukazały ci cele, jakie u nas, w ciasnej naszej sferze, nie istnieją, i dla których ty nie stworzona. Wolę więc, ażebyś co do onych w pierwotnej swej pozostawała nieświadomości. Bo w ogóle, wierząc mi, człowiek najczęściej, im mniej wie, tem jest szczęśliwszy, im mniej widzi, tem jest spokojniejszy. Pierwsi ludzie, dopóki nie zakosztowali owocu z drzewa poznania dobrego i złego, żyli szczęśliwie w raju, nie znali potrzeb żadnych; zadowolenie, spokój były ich udziałem. Później jakże się wszystko zmieniło! Przejrzeli; to znaczy: zrozumieli swą niedolę ludzką i nędzę; zapragnęli nowych rzeczy, których w pocie czoła dobywać musieli, zrozumieli swoje niedostatki i frasować się o nie poczęli. A na cóż to im się zdało? Nie byliżby szczęśliwsi, gdyby wiecznie w swej byli pozostawali ślepo-pocie? co im poznanie nowych rzeczy w nagrodę przyniosło? Udręczenia, męki i cierpienia! I tak wciąż do naszych czasów było, jest i będzie. Lepiej przeto być ciemnym, aniżeli, przejrzawszy, poznać zło i nie módz go zwyciężyć, lub ujrzeć dobro i nie mieć prawa z niego korzystać.

Zatem, Rachelo! pozbadź się mar, nie myśl o nowych obrazach i nie stwarzaj sobie tym sposobem źródła niepotrzebnych utrapień.

Po co masz wzrok ciekawy w inne, obce zapuszczać światy, kiedy ci we własnym domu nie zbywa na przyjemnościach, kiedy ci wesoło, ciepło, ochoczo. Odwiedzaj swoje przyjaciółki, dzielaj ich zabawy i rozrywki, a stokroć to lepsze będzie. No, Rachelo, cóż, zgoda?

— Nie, ojczy! taką, jak dotąd byłam, lekką i trzpiotowatą, być już nie chcę. Widnokrąg moich myśli teraz szerszy nieco i widzę, że światek umysłowy, w jakim żyłam, bardzo ciasny, zadowolnić mnie już nie zdoła. Z za onego przed okiem ducha, acz w bardzo niewyraźnych kształtach, wylaniać się poczynają nowe widoki i postacie. Chcę je poznać, ku nim dążyć, bo mię nęcą zdaleka. Tysiączne zapytania w głowie mi wirują, płaczą się, a ja ich rozwikłać nie umiem. Nauka, uczyć się—to są wyrazy, co, jak dzwon, nieprzerwanie, od rana do wieczora rozlegają się w mózgu i uszach moich.

— Ha! uparcie, widzę, obstajesz przy swoim,—odparł ojciec,—czyń więc jak chcesz.

Pragnąłem cię przekonać, lecz słowa moje do myśli ci nie trafiają... ustępuję. Boddajbyś nigdy nie pożałowała, żeś nie chciała głosu mojego usłuchać.

I rozwarły się przedemną podwoje do przybytku wiedzy, do którego zrazu we-

szłam nieśmiało i bojaźliwie. Lecz im dalej szłam naprzód, tem pewniejszym stawał się krok mój, tem widniej robiło mi się przed oczami i z tem większą uwagą słuchałam Gustawa, który był dla mnie wyrocznią tego wszystkiego, czego rozum mój zrozumieć nie był w stanie. Jakże go słuchałam uważnie, jak gorliwie każde chwytałam słowo, chcąc je sobie wrazić w pamięć; poczem je powtarzałam, analizowałam i odpowiednie zeń wyciągałam wnioski.

Wielbiłam go prawdziwie i głęboko. Widziałam w nim swego mesjasza, który mnie, uśpioną, zbudził i do nowego powołał życia, a życiu temu nowy nadał wdzięk i urok, napenił je bowiem treścią piękną i poważną, nauczył mię myśleć i czuć, nauczył przede wszystkim w nauce widzieć najwyższy stopień szczęścia.

Byłam bardzo pojętną, to też z niezmierną szybkością przyswajałam sobie to, uadczem osoby mniej zdolne, miesiące by całe trawiły. Czytałam wiele, całe prawie stopy pochłaniałam książek, a praca ta, zamiast mię nużyć, więcej mi ducha krzepiła, więcej dodawała otuchy do dalszego kroczenia w wytkniętym kierunku.

Rodzice moi zrazu próbowali sprzeciwić się nadmiernemu, jak sądzili, na siły moje zatrudnieniu, lecz przekonawszy się, że zdro-

wie moje na tem nie cierpiało, wyrzekli się głośnych protestów. Twarz ojca mego jednak posepniała, ilekroć nad książką mię zastawał; zaniechał poufnych ze mną rozmów i często w smutne wpadał zadumanie.

Bolało mię to, bo ojca swego bardzo kochałam, wielbiłam szlachetne jego serce i zdrowy rozsądek. Dla czego miał on za złe swemu dziecku, że pragnęło widnokrąg swój rozszerzyć i świat, ten twór boski, lepiej poznać? Wszak nie przez próżność to czyniłam i nie przez chęć wyniesienia się nad inne rówiennice moje. Nie, płochą nie byłam, korzyści osobistej nie miałam na celu, ani wonnych kadzidel pochwał. To, co czyniłam dla siebie, do czego sama dążyłam, co chciałam zdobyć,—to samo chętnie byłabym uczyniła dla innych: dla każdego z maluczkich spółbraci, dla każdego ze spółwierców swoich, by umysł jego podnieść do zrozumienia potrzeby nauki, by go wydobyć z tej toni ignorancji, z tej odrętwiłości i letargu, w którym spał i spał bez przebudzenia.

W owym czasie, rozentuzjasmowana do najwyższego stopnia, bolałam nad zacofańcami i byłabym chciała, jak owi misjonarze w odległych częściach świata, ze słowem wiary na ustach nawracać ciemnych z dróg zabobonu do krainy szczęścia, jaką w oświacie jedynie widziałam.

Początkowe moje jednak w tym względzie próby napotkały na niechęć, a nawet szyderstwo ze strony tych, których nawracać usiłowałam. Ojciec mój, spostrzegłszy moje usiłowania, powiedział mi dosyć nawet sucho, ażebym misjonarskich swoich kroków zaniechała, albowiem przekonania swego innym narzucać się nie godzi; on sam też przebojem nie chciał mnie do przekonań swoich nakłonić, należało przeto i innym swobodę myśli zostawić. Musiałam mu w tym względzie przyznać prawdę; gdyż w rzeczy samej od czasu ostatniej naszej rozmowy, ojciec mój kwestji oświaty i nauki ani słowem nie poruszył; starał się ją raczej omijać; zabiegi moje przeto pomyślnym nie wieńczyły się skutkiem, bo przyjaciółki moje, które codziennie prawie dawniej mię odwiedzały, od niejakiemu czasu stronić odemnie poczęły. Witały mię wprawdzie równie uprzejmie, lecz dawniej poufałości i serdecznego nawzajem obejścia niepodobna było zauważyć. Czuć się dawały rozdźwięk, nieporozumienie, co tembardziej dziwiło, że, o ile przypomnieć sobie mogłam, najpiękniejsza dawniej panowała pomiędzy nami harmonja. Coraz częściej urywał się wątek wymuszonej pomiędzy nami rozmowy, którą coraz mniej podtrzymywać umiałyśmy. To też węzły stopniowo się tarły; te tak ściśle



niegdyś stosunki przyjacielskie zatracaly się z każdym dniem więcej i ja w towarzystwie Andzi tylko i jej brata czulałam się dobrze, podniosłe, bo szybko się rozwijałam i nowymi zbogacałam myślami.

Matce mojej nie podobało się stronienie odemnie towarzyszek moich, z matkami których dawne łączyły ją stosunki. To też z wszelkich korzystała sposobności, by poważnione, jak sądziła, przyjaciółki zbliżyć i pogodzić ze sobą. Nie rozumiała bowiem, że przyczyna, która nas od siebie oddalała, była wewnątrz nas, tkwiła w różnicy pojęć i myśli, tkwiła również w nieufności, z jaką pewne słowa moje i zdania przyjmowały. Matka moja nie wiedziała o tem. Rzadsze odwiedziny przyjaciółek moich kładła na karb chwilowego nieporozumienia, obrażonej dumy, lub innej tym podobnej przyczyny, a chcąc mię do zgody nakłonić, wymawiała mi łagodnie pychę i mniemaną nieużytość moją. Nie broniłam się, nie tłumaczyłam jej powodów, których zresztą w owym czasie sama dokładnie nie rozumiałam, lecz, czyniąc zadość jej naleganiom, w miarę możliwości usiłowałam być grzeczną, uprzejmą. Wszystkie moje jednak usiłowania nie zdołały nieufności usunąć; przyjaciółki moje nie przestawały stronić odemnie i najczęściej na zagadnienia moje kiwnięciem tylko głowy,

lub półsłówkami odpowiadały. Znać było ze wzroku, jakim poglądały wówczas po sobie, że obecność moja mroziła je, pęty na nie nakładala, jakby na miejscu przyjaciółki widziały przed sobą osobę obcą, podejrzaną.

Nieraz na przechadzce, widząc mnie spacerującą w towarzystwie Gustawa i Andzi, szybko odwracały oczy, lub też w inną kierowały się stronę, unikając starannie spotkania ze mną. Lecz o ile odległość im pozwalała i, o ile niepostrzeżone, czynić to mogły, ścigały nas ciekawie okiem, badały ruchy, wyraz twarzy, uważnie nadsluchując, czy im się nie uda słówko jakieś z toczonej przez nas rozmowy podechwycić. Natenczas półgłosem udzielały sobie uwag i wniosków.

Andzia, która ciekawem śledziła za niemi okiem, wesołym nieraz wybuchała śmiechem.

— To ty, Gustawie, płoszysz dzikie te sarny,—powiedziała z uśmiechem, do brata się zwracając;—umykają, jakby wilka w tobie widziały, bo też strasznie nasrożoną masz mnie, braciszku!

Gustaw brwi ściągnął.

— Lepiej by te sarny zrobiły, gdyby, zamiast uciekać, bliżej nam się przypatrzeć chciały, gdyby, zamiast we mnie, wilka widziały w ciemności i przesądach swoich.

-- Poproś je zatem tutaj, Rachelo!—śmie-

jąc się zawołała Andzia. — Powiedz, że to nie wilk, że to prorok.

— Czy sądzisz, że na zawołanie przyjdą? — z goryczą przerwał Gustaw, — że cię posłuchać zechcą? Nie, nie przyjdą; bo to ciemnota, dumna swoją ciemnotą, bo to pycha zła i niekzemna.

— To nie pycha, panie! — odparłam wzruszona; — to nieświadomość, prostota niewinna. Przyjdzie czas, gdy, równie jak i ja, poczują zaślepienie; poczują pęta i zrzucić je zapragną.

Te i tym podobne często toczyły się pomiędzy nami rozmowy, których przedmiotem były dawne moje, stroniące odemnie coraz bardziej towarzyski.

Dnia pewnego na usilne żądanie matki mojej poszłam wraz z nią powinszować państwu Z., znajomym rodziców moich, z powodu zaręczyn córki ich, Basi.

Z Basią dawniej dobrze się znałam i szczerą nawet łączyła nas przyjaźń, a narzeczonego jej znałam niemniej dobrze, ponieważ odwiedzał często ojca mojego w celu zasięgnięcia porady i skazówek handlowych. Był to człowiek uczciwy, potulny, który własną pracą i zabiegliwością szczupłego z czasem dorobił się kapitaliku. Ojciec mój lubił go bardzo, a matka dawniej żartem nazywała swoim zięciem. On uśmiechał się przytem

dobrotliwie i poglądał ku mnie. jakby chciał z wyrazu mojej twarzy wysnuć dla siebie wniosek jakiś. Nawykłam była nań patrzeć, jako na domowego i blizkiego przyjaciela. Lecz odkąd zaczęłam odwiedzać częściej dom państwa Glas i ztamtąd nowe przynosić książki, jemu twarz coraz bardziej posępniała, ilekroć zastawał mię nad niemi. Kilka razy widocznie chciał do mnie przemówić, lecz, nie mogąc na odwagę się zdobyć, smutnym tylko wodził za mną wzrokiem. Później rzadszym coraz u nas stawał się gościem, a pomimo, że go rodzice moi uprzejmie zapraszali, wkrótce wcale przestał bywać.

Nie badałam przyczyny zachowania się jego, ani też nie usiłowałam zagadki unikania domu naszego rozstrzygnąć. Lecz żał mi było tego człowieka, z osobą którego inne wcale łączyłam zamiary. W zapale prozelitycznym marzyłam o tem, że kiedyś dzięki moim usiłowaniom, duch jego ocknie się z letargu, że podniesie się i otrząśnie z wiekowych przesądów, a twarzą zwróci w stronę, kędy jaśnieje światło cywilizacyi i postępu ludzkiego. W myśli widziałam go już swobodnym, nawróconym; widziałam go z okiem jasnym, czołem pogodnem wnikającego w świat szeroki, tak dlań nowy, tak piękny. I czułam w sercu błogość niewypowie-

dzianą na samo wspomnienie, że kiedyś zdołam dzieła nawrócenia dokonać i istotę ludzką na drogę prawdy sprowadzić.

Lecz nadzieje owe spełzły na niczem, natomiast z prawdziwem dowiedziałam się zdumieniem o zaręczynach jego z Basią.

Basia o dwa lata była starszą odemnie, pomimoto jednak w wielkiej kilka lat spędziłyśmy zażyłości. Była to cicha, dobra dziewczyna, która nie lubiła chodzić nigdzie, ręczną najczęściej w domu zajmując się robotką. Małomówna, nie wdawała się w głośne dysputy, ale na zapytania odpowiadała składnie i zwięźle. Lubiła gospodarstwem się zajmować i do kuchni zaglądać, lecz nie chciała nic wiedzieć o tem, co się poza obrębem jej domu działo, jaki tam świat inny, jacy inni ludzie i inne wśród nich obyczaje. Wyraźną nieraz okazywała niechęć, gdy ja, opanowana jedną i tą samą wciąż ideą, przedstawiałam zbawienne skutki rozwoju umysłowego.

Przyjmowała to zrazu obojętnie, z ironią niemal, a gdy chciałam bardziej ją przekonać, zbywała mię zwykle niecierpliwą odpowiedzią.

— Daj pokój! ta uczoność nie dla nas.

Ja, słów tych nie rozumiejąc, o dalsze prosiłam określenie, lecz ona równie krótko odpowiadała.

— Widzisz, Rachelo! książkowa mądrość i francuzszczyzna dla tych, co marcypany zajadają i powozami jeżdżą.

I zwykle podobnej rozmowy z wielką unikała zaciętością.

Teraz plastyczniej uwydatniały się przedemną postaci tych dwojga połączyć się mających ludzi, i, pogrążona w zadumie, zadałam sobie mimowolnie pytanie, jakie też będzie tło przyszłego ich pożycia i jakie oni na razie żywić mogli nadzieje, jakie snuć marzenia. Słyszałam niedawno Gustawa mówiącego, że w ogóle ludzie bez oświaty, na niskim stojący poziomie umysłowym, nie są zdolni do uczuć, marzeń i do sięgania myślą ponad chwilę obecną, ponad interesy osobiste, powszednie. Nie zdolni zrozumieć uroku, tkwiącego w spójni dwóch dusz, w zgodności dwóch charakterów i w łącznym pojmowaniu rzeczy wzniosłych i ogólnych. O tym przedmiocie mówił często z werwą i przejęciem, a ja w duchu, jak zwykle, przyznawałam mu słuszność. To też i teraz myślałam o tem, jaki będzie świat duchowy dwojga tych istot, jaka marna treść go wypełni.—Nudne i jałowe snuć się będą tygodnie i miesiące w machinalnem pełnieniu obowiązków codziennych bez żywszej barwy i okras. On walczyć będzie jedynie o zdo-

bycie grosza,—ona w krzątaniu się koło gospodarstwa i gotowaniu strawy znajdzie spokój i zadowolenie. Bez szlachetniejszych porywów i dążeń zamkną się w ciasnym obrębie potrzeb domowych i lata pędzić będą, podobni zasklepionym w skorupkach swoich ślimakom.

Zamyśliłam się mocno, bo przyszło mi na myśl, że przed rokiem ja także innego nie pojmowałam życia, innego nie znałam świata, innych nie widywałam ludzi. Dzięki zaś towarzystwu młodzieży inteligentnej, która zbierała się w domu państwa Glas, miałam sposobność usłyszenia wielu rzeczy, o których najslabszego dawniej nie miałam wyobrażenia. Umysł mój pod wpływem tego otoczenia szybko się rozwijał, a pojęcia tak dziwnie się prostowały, że Gustaw głośno oświadczył; iż postępy, jakie uczyniłam, w zdumienie go wprawiają.

Razu jednego, przechadzając się po pokoju, uczyłam się głośno zadanej mi przez Gustawa lekcji, a ponieważ ustępu jednego zrozumieć nie mogłam, powtarzałam go niezliczone razy i zawzięcie tarłam czoło, jakbym krnąbrną myśl przemocą do mózgownicy swojej wtłoczyć chciała. Mimowolnie spojrzenie moje padło na ojca. Czoło miał pomarszczone i oczy utkwione we mnie z wyrazem niepokoju i zwątpienia. Patrzył

no mnie, jakby chciał pytanie mi zadać, jakby chciał przemówić: Szalona dziewczyno! co ci po tych szumnych słowach, które gwałtem chcesz do mózgu sobie wtłoczyć, co ci zależy na sztucznym tym gmachu, dla którego na naszym gruncie miejsca niema? Dlaczego tak pracujesz, na co się wysilasz?

Z żalem prawie zwróciłam się do ojca.—Ojcie!—rzekłam, — wiem, cobyś chciał teraz powiedzieć i przykro mi niewymownie, że chęć moja kształcenia się tak mało znajduje w tobie poparcia. Widzę, jak niechętnie poglądasz na moje książki, choć nic nie mówisz,—ale błagam cię, wytłomacz mi: dlaczego ty, człowiek rozsądny, nie ciemny i nie zacofany, co sam też czerpałeś z krynicy wiedzy, córkę swoją chciałbyś wstrzymać od nauki, jakiej ona z całej mocy pragnie?

Ojciec mój spojrział na mnie poważnie.— Powiedziałem ci już raz, — wyrzekł powoli i dobitnie, — że nauką bynajmniej nie gardzę, że ją cenię bardzo—w mężczyźnie. Gdybym miał syna, bądź pewną, Rachelo, iż pomimo mojej niezamożności posyłałbym go do szkół, nie szczędziłbym największych choćby ofiar dla jego kształcenia, dla wydobycia go z toni nieuctwa, w jakiej większość żydów z naszej sfery pozostaje. I miałbym może słodką tę pociechę, że w nagrodę trudów i o-

fiar moich syn mój stałby się doktorem, inżynierem, lub adwokatem. Wiedziałbym, że owoc mej pracy nie zmarnieje, że syn mój kiedyś, po ukończeniu nauk, stanie się twórcą dalszej swej przyszłości.

Po chwili ojciec ciągnął dalej:

— Gdziekolwiek by się zwrócił, w którą stronę rękę by wyciągnął, wszędzie natrafiłby na stanowisko mniej, lub więcej pewne, na grunt twardy i mocny. Lecz — ja syna niemam, natomiast obdarzył mię Bóg córką. Dla niej nie wolno mi marzyć o celach, jakie płęć tylko mężka po wielu trudach sama jedna zdobyć jest w stanie. Nie wolno, bo inne zupełnie są warunki, w jakich kobieta żyje.

Jeżeli to, co mówię, odnosi się do całego rodu niewieściego, któremu sama natura właściwe karby nadała, to cóż dodać jeszcze mogę o kobiecie, żydówce, której powołaniem życie ciche i skromne i która w smutnych dziejach swego narodu znaleźć winna skazówkę własnych losów: że nie wolno jej piąć się na wyższe tory, nie wolno marzyć o niedościgłych ideałach, lecz w ciasnych murach ghetta rozwinać swą działalność ku ulżeniu niemocy, ku osuszeniu łez, niedoli, w jakiej pozostawał i pozostaje biedny jej lud spółwierzcy. I, zamiast się zapuszczać w labirynt zawitych nauk,

niechaj wnika w siebie, w sobie tkliwe żywi uczucie ku budzeniu upadłej otuchy swego meża, ku krzepieniu sił jego, steranych w ciężkich zapasach życia. Niechaj go wita u progu domostwa jego słowo pociechy, by na chwilę zapomniał, że jest zwierzem, ściganym po kniejach, zapomniał o ranach w tej obławie odniesionych i ażeby poczuł, iż we własnym domu jest człowiekiem swobodnym, kochanym i szczęśliwym. Cześć naszym matkom i prababkom, co święte ognisko enót rodzinnych podtrzymywały i podsycały, co osładzały gorycze naszych ojców i jad wątpienia z ich wydalaly piersi, cześć im! Lecz czy córki nasze z modnem wykształceniem, z książkami w ręku, pójdą utartym szlakiem wzorowych swych matek, o tem wątpić należy. I dla tego, Rachelo, żydzi zachowawczy, co ideał żony i matki w biblijnej tylko widzą niewieście, z obawą i niedowierzaniem poglądują na te z pośród niewiast Izraela wyjątkowe jednostki, które, nie chcąc się stosować do obyczajów, tradycją uświęconych, nowych szukają dróg i nowych drogoskazów.

— Ależ, ojcze! — żywo przerwałam — Jeżeli drogoskazem ich jest własne przekonanie, to do przestarzałych obyczajów stosować się nie winny. I jeżeli niemi kieruje żądza wiedzy, to czyż mogą one dla płonnej obawy,

jaka w zacofanych swoich spółwiercach wywołują, drogę prawdy, na jaką weszły, porzucić?

— A wieszli, dokąd je ta droga zaprowadzi? Na bezdroża! — zawołał ojciec. — Bez wyjścia obracać się tam będą, jak błędne owce, co łbem swym mur przebićby chciały. Muru swoją mądrością nie przebijecie, mędrkinie, porządku świata nie zmienicie, bo świat pozostanie zawsze ten sam. Nauka kobiecie nie potrzebna, praw jej żadnych nie nada, a pozbawić ją może dawnych, tradycją uświęconych. Jej dziełem szczęście rodzinne — gmach, nad którym pracować i czuwać winna, a gmach wiedzy i bez jej cegiełki się obejdzie.

To powiedziawszy, wyszedł z pokoju.

Słowa ojca mojego przykre na mnie uczyniły wrażenie. Nigdy jeszcze ojciec z taką powagą do mnie nie przemówił, nigdy z przejęciem podobnem poglądów i pojęć swoich wobec mnie nie wypowiedział. Widocznie, przestał mię, jako dziecko, traktować i doborem słów, oraz przykładów usiłował mię o słuszności zapatrywań swoich przekonać. Na poparcie onych cnoty i zasługi biblijnych aż niewiast przytoczył, jakby nie chciał o tem pamiętać, że od tych ostatnich długie nas już oddzielały wieki. Nie chciał pamiętać, że epoka naszych pra-

babek dawno minęła, że cnoty ich, acz piękne kiedyś, nam, wnukom, dziś już nie wystarczały. Mury ghetta dawno runęły, a wraz ze świeżem powietrzem napływać poczęły ku nam nowsze pojęcia, z innego świata odgłosy. Odgłosy te zarówno z innymi usłyszała kobieta izraelska i odezwać się na nie musiała. Gustaw często o tem mówił i wręcz przeciwne rozumowaniu ojca swojego wygłaszał idee.

Zamyśliłam się.

Coby też Gustaw powiedział, gdyby rozumowania ojca swojego podsłuchał? pomyślałam. Coby powiedział, gdybym mu słowa jego powtórzyła?

Mająż to być przekonania ojca swojego, lub też wszystkich innych spółwierców naszych przekonania, które on wynurzył przedemną? bo sam przecie tak przesądnym być nie może. Człowiek, który naukę cnotą zowie, który uczonych poważa, sam też przesądnym nie jest.

A ci inni, czyżby na mnie złowrogo poglądać mieli dla tego, że, spragniona, przychyliłam usta do źródła wiedzy... mieliżby mię za to potępić? Lecz gdyby nawet, gdyby tych wielu uznania mi odmówiło, znajdę takowe niezawodnie wśród sfery żydów oświeconych, wśród tych, co niemniej są synami Izraela, acz odrębną stanowią warstwę. O! ci

mię poprą, ci nie powiedzą, że dziewczę izraelskie, pragnące kształcić się i rozwijać, wszelkie idealniejsze w sobie uczucie zatraca. Nie odmówią mi współczucia i sympatii, o której zresztą tyle razy miałam sposobność u państwa Glas się przekonać.

I coraz bardziej lgnęłam do nowych moich przyjaciół, którzy sobą ową warstwę uosabiali, coraz chętniej bywałam w salonie rodziców Andzi, gdzie się cała miejscowa żydowska zbierała inteligencja i gdzie było tak jasno i wesoło. A gdy starsi wszczynali rozmowę o bieżących wypadkach, lub interesach handlowych, młodzież hurmem wysuwała się do ogródka i tam, pod gwiazdami usianem niebem, na wolnem powietrzu, rzucała wzniosłe hasła, których echo rozlegało się daleko; rozprawiała o znaczeniu nowych wynalazków i odkryć naukowych, filozofowała, sprzeczała, gorączkowała się. A wszystkie te perory cechowała pewna powaga i pewne, że tak rzeke, namaszczenie słowa. Jak piękną, jak boską muzyką wydawały mi się owe rozmowy! z jak głębokiem przejęciem chwytalam każdy dźwięk, każde słowo. Wierzyłam mocno, iż każdy z tych zanych młodzieńców drogę życia swego szlachetnym czynem zaznaczy; iż każdy z nich dla dobra tego społeczeństwa, które mu ciągle na usta wracało, gotów będzie wszelkie

złożyć ofiary, wszelkie osobiste poświęcić korzyści.

Później, gdy za powrotem do domu, leżąc już w łóżku, rozpamiętywałam wszystko powoli, natenczas przypomiinałam sobie opowiadania o dawnych prorokach, owych posłańcach Bożych, którzy ze słowem wiary szli nawracać zważywały lud Izraela...

Myśląc wracałam znowu do młodych spółwierców moich, którzy ojca mego często odwiedzali, a o których słyszałam, że byli to ludzie godni, zdolni do wszelkiego, pięknego czynu.

Na czemże się ich zacność opiera? pytałam z niedowierzaniem samą siebie. Czy na tem, że nie oszukują, nie wyzyskują i nie krzywdzą nikogo, lub że powinności swe względem Boga spełniają, modląc się codziennie rano i wieczór? Lecz postępując w ten sposób, o własnem myślą tylko zbawieniu, własną tylko osobę mają na celu. Co oni dla spółbraci swoich uczynili i gdzie jest owa szlachetna dążność, ów zapal, co tamtych ku czynieniu ogólnie dobrze ogrzewa? i jakie mają oni dewizy, któreby sobie za skazówki wytknęli?

O! tych od tamtych wielka jeszcze dzieli przestrzeń, otchłań wielka, jaka kiedyś zniknie może, lecz która teraz zbyt jest głęboką. Podczas, gdy tamci istotnymi są przo-

downikami postępu, rozsadnikami światła na ziemi, — ci za swoim murem chińskim, jaki nieufność i przesady wkoło nich utworzyły, żyją cicho, każdy osobistemi swemi zajęty sprawami, nie interesując się i nie chcąc nie wiedzieć o owych wielkich zdobyczach umysłu ludzkiego, o owych ewolucjach, jakie czas w dziedzinie myśli wiecznie wywołuje.

Lecz nie czułam dla nich pogardy. Widziałam w nich biednych upośledzonych, którzy w zaślepieniu swem musieli poomacku się posuwać dla tego, że opaska nie spadła im jeszcze z oczu, że promień światła jeszcze się ku nim nie przedarł. Ale wierzyłam mocno, że liczny zastęp owych cudotwórczych lekarzy, którzy rany ludzkie goić tak bardzo pragnęli, niemoc ich wyleczy, rozproszy ciemnię, w jakiej, biedni, się błąkać musieli.

Przeszedł cały rok. Wakacje letnie się kończyły i młodzież tłumnie do zakładów naukowych wracać zaczęła, by znowu opuszczone na ławach szkolnych zająć posterunki. Gustaw, po całorocznym w domu pobycie, wyjechał wraz z innymi, by za kilka jednak tygodni powrócić i pewien czas jeszcze w domu spędzić. Ponieważ na zdrowiu nieco szwankował, rodzice na nim wymogli, ażeby lekcje w domu odrabiał, czemu, jak wiadomo, statuty uniwersyteckie bynajmniej

się nie sprzeciwiały. Zrazu uledek nie chciał, lecz porozumiewszy się z kolegami i przekonawszy się, że studja jego uszczerbku na tem nie poniosą, przychylił się do żądania rodziców. Byłam bardzo rada temu, bo tym sposobem nabyłam pewności, że nauka moja nie zostanie przerwana.

Wprawdzie Gustaw mi powiedział, że w razie wyjazdu, on dalszy program kształcenia mojego pozostawi jednemu ze swych przyjaciół, przełożonemu szkoły miejskiej, lecz oświadczenie to jego otuchą mnie bynajmniej nie przejęło. Wyraziłam mu nawet powątpiewanie swoje co do gotowości czyjejs do przyjęcia na siebie misji oświecania takiej niezdarnej, jak ja, uczennicy, lecz on żywo zaprotestował.

— Panno Rachelo!—powiedział;—postępy, jakie w tak krótkim czasie poczyniłaś, dowodzą wrodzonej ci inteligencji i niepospolitych zdolności. Pojęcie masz bystre i przyznać muszę, że trafny twój na rzeczy pogląd niekiedy w zdumienie mię wprawia, gdyż pojąć nie mogę szybkości, z jaką w obcej zupełnie dla cię dziedzinie orjentować się umiesz. Jestem pewny, że wobec podobnych zasobów umysł twój nie zżałowuje, że sam już dźwignąć się też potrafi do pewnej wysokości intelektualnej. Lecz szczegółowiej o tem pomówimy, gdy wyjazd mój zostanie nieodwołalnie postanowionym, a tymczasem

chciej wierzyć, panno Rachelo, że, w razie nawet wyjazdu, nauką twoją interesować się nie przestanę i gorliwie domagać się będą od przyjaciela mego wiernych o dalszych twych postępach sprawozdań.

We dwa tygodnie po tej rozmowie wyjechał do stolicy dla dopełnienia wstępnych tylko uniwersyteckich formalności, poczem niebawem miał powrócić i wszystko dawnym miało pójść trybem.

Lekcje zwykle odbywały się w godzinach przedpołudniowych. Ponieważ rodzice moi szczupłe mieli mieszkanie, chętnie przyjąłem propozycję Andzi, która mały swój pokój na salę naukową dla mnie i dla siebie przeznaczyła. Tym sposobem spędzałyśmy większą część dnia razem; a gdy Gustaw wyjechał, częściej jeszcze, aniżeli dawniej, asystowałam na lekcjach Andzi, będąc mile widzianą przez jej rodziców, którzy okazywali mi wiele przychylności. Goście zaś, widząc mnie tak uprzejmie przez gospodarzy domu traktowaną, nie mniejszemi też darzyli mnie względami. Dzięki temu stawałam się z dniem każdym śmielszą w towarzystwie, w którym, aczkolwiek brak szumnego żywiołu studenckiego ogólnie czuć się dawał, dosyć jednak było gwarno i wesoło. Gromadzili się w niem przeważnie ci wszyscy, którzy wybitniejsze w mieście zajmowali

stanowiska, bądź w sferze finansów, bądź też w dziedzinie nauki: postępowi żydzi, którzy krojem sukni, mową i obejściem zupełny stanowili kontrast ze swoimi spółwiercami długochałatowymi.

Rozmowa toczyła się żywa, pełna kwiecistych, retorycznych zwrotów; ton panował swobodny, lecz grzeczny i układny. Panowie zwracali się do dam z ukłonem, z wyrazem szacunku i uwielbienia, w sposób dżentlmeński, jakiego śród znajomych rodziców moich nigdy nie spostrzegłam. Tam kobiety, odległy jakiś najczęściej obrawszy sobie ką, pocichu ze sobą rozmawiały, podczas gdy mężowie ich, najmniejszej naonczas nie zwracając na nie uwagi, debatowali głośno nad zawilemi z Talmudu cytatai. Na panny, chociaż dorosłe, nie zważano wcale, jakby im w życiu towarzyskiem najmniejszego nie przyznawano znaczenia, wszelkiej wybitniejszej odmawiano roli. Natomiast w domu państwa Glas one właśnie głównie rej wiodły i stanowiły wyłącznie prawie tę oś środkową, koło której towarzystwo męskie żywo krążyło i uwijało się. Przychodziły często młode panny, towarzyszkii Andzi. Żywe i trzpiotowate, witały znajomych panów swobodnie, śmiało, niekiedy nawet zalotnie. Ci nawzajem odpowiadali dowcipem i roz-

legały się śmiechy, żarty, życiem i młodością tryskające.

Była to ciepła atmosfera, w której ja, dziecię polarnej Flory, prędko się zaaklimatyzowałam. Odpowiadałam już śmiało na czynione mi zaczepne, lub poważne zapytania i sama nieraz rzucałam uwagę, albo też zdanie, które inni chętnie podtrzymywali. Nie przyszło mi nigdy na myśl, że ja w tym gronie ludzi bogatych podrzędniejsze zajmować mogłam stanowisko, ponieważ córką niemających byłam rodziców; że na mocy tej to właśnie okoliczności mniejsze mieć mogłam w przyszłości szczęścia dane. We mnie, przeciwnie, coraz bardziej wzrastało poczucie godności osobistej, dumy nawet, gdy poznawałam, iż niektóre z bogatych towarzyszek Andzi mniej posiadały wiadomości odemnie i płytkim odznaczały się rozumem. Nauczywszy się znaczenie towarzyskie każdego mierzyć miarę intelektualnej jego wartości, z pewnem poglądałam lekceważeniem na Ewę Enk, kuzynkę Andzi, której czcza rozmowa najmniejszego we mnie nie budziła zajęcia. Płocha i zarozumiała, lubiła ubierać się „stylowo”, jak sama się wyrażała, i na uczoną pozować, o świecie rzeczywistym sądząc, jak ślepy o kolorach. Śród ogólnej rozmowy wyrывała się nieraz ze zdaniem, jak Filip z Konopi, uśmiech iro-

niczny na usta reszty wywołując słuchaczy, co jej bynajmniej z tropu nie zbijało. Ze mną nie sympatyzowała i z góry na mnie poglądała, ja zaś obojętnością, lub pogardą jej odpłacałam. Widziałam, że całą w niej treść stanowiły szumne wyrazy i kilka z książek na pamięć wyuczonych zdań, któremi się przed każdym popisywać lubiła, jak paw piórami swojemi.

Gustaw często śmiał się z niej i nazywał ją lalką norymberską, lub bańką mydlaną.

Lecz dziwiło mię, gdy widziałam, że pomimo to wszystko bywała w towarzystwie poszukiwaną przez młodych panów, którzy ogólnie za ludzi rozsądnych i wykształconych uchodzili. Skoro wchodziła do salonu, otaczało ją zaraz grono młodzieży, starającej się na wyścigi bliżej niej miejsce zająć, i rozmowę z nią zawiązać. Nieraz banalnym jej zdaniom głośno potakiwano, podczas gdy w oczach widniała ironja i chęć śmiechu; nieraz też pochlebne wypowiedano jej zdania, na które, czułam, że najmniej nie zasługiwała. Patrzałam natenczas ze zdumieniem i pojąć nie mogłam. Śledziłam za nią bacznie i skrycie badałam, chcąc w niej mniemanie odkryć zalety, któreby tę ogólną admiracyę usprawiedliwiały, lecz coraz mocniej się przekonywałam o nicości jej moralnej.

— Andziu!—zwróciłam się raz do przyja-

ciółki mojej; — wytłomacz mi, proszę, jaką człowiek taki, jak pan B., może w towarzystwie Ewy przyjemność znaleźć, że towarzystwa tego tak gorliwie zawsze poszukuje? Przecie niepodobna, ażeby on Ewy poznać i ocenić należycie nie umiał.

— Ty nic nie rozumiesz,—odpowiedziała Andzia.—Widzisz, Ewa bogata dziewczyna, mająca dwadzieścia tysięcy posagu, a pan B., jak mi mama mówiła, jest kandydatem do małżeństwa, przedewszystkiem szukającym posagu.

— Więc cóż ztąd?—zapytałam zdumiona.

— Pan B. poszukuje towarzystwa Ewy, ponieważ ma widocznie ochotę starania się o jej rękę;—rezolutnie odparła Andzia.

— Ależ to być nie może!—zawołałam,—pan B. dla samych pieniędzy Ewy ożenićby się z nią nie chciał. Ceni on, jak nieraz sam o tem mówił, nadewszystko swobodę osobistą i wolność przekonania; nie mógłby więc lepszego swego przekonania o nicości Ewy względem majątkowym poświęcić. Mylne więc twoje przypuszczenie, Andziu!

.. Lecz pomimo, że z Andzią głośno zgodzić się nie chciałam, słowo, przez nią rzucone, zapadło w moją duszę, niby ziarno, które kiełkować i plon kiedyś wydać miało. Odtąd, gdy widziałam nprzejmie uśmiechniętą twarz którego z młodych ludzi, Ewie nad-

skakujących, przypominał mi się domysł Andzi, że to z powodu jej posagu, i czułam wtedy coś jakby rozczarowanie, jakby ból ostry i dręczący.

Podobne jednak myśli z zaciętością wszelką odpierałam. Ja wierzyłam silnie i wierzyć chciałam w zacność tych ludzi, którzy tak pięknie wygłaszali teorie o równości i swobodzie; tych ludzi, którzy pragnęli złamać pychę bogatego i eksploatację słabego przez silniejszego zniwelować. A gdy Gustaw przyjechał i w godzinach wolnych od własnych swych zajęć naukowych, znowu począł nauką moją się zajmować,—pierzchyły chwilowe wątpliwości i wiara czysta uapełniła mi duszę.

Andzia teraz łącznie ze mną korzystała z wykładów Gustawa; uczyłyśmy się bowiem razem, chociaż ona w postępach pozostawała daleko za mną. Żywa i wesoła, czuła nieraz wsręt do poważnych kwestyj i książek, a chętniej daleko powieści czytywała. Lubiła ogródek, altankę i przyjacielskie nasze gawędy, dom rodzinny, kwiaty i zabawy. Trzpiotowata i swywolna, lubiła też z Gustawem się przekomarzać i często mawiała, iż nie pojmuje kobiety, która cichy swój dom porzuca dla jakichś zapasów na szerokim świecie, dla kursów i gonitwy, by

gwałtem nowe, społeczne zdobyć sobie przywileje.

— I co właściwie chcą wywalczyć owe wojownicze niewiasty, które ty, Gustawie, jako prawdziwe wynosisz bohaterki? — zapytywała brata; — do czego dążą, o co tak hałasują? Czy serjo zamyślają zdobyć tekę ministerjalną, lub katedrę, z której wszystkim w ogóle, a kobietom w szczególności, będą mogły głosić, że te same mieć one winny przywileje, co i mężczyźni, mianowicie: świętych włosów?

Uśmiechnęłam się, bom sobie właśnie przypomniała Ewę Enk, która, chcąc całą swoją powierzchownością uosabiać pannę, wolną od przesądów, obcięła bujne swe warkocze i męzki włożyła kapelusik.

Gustaw się skrzywił.

— Proszę cię, Andziu, — wyrzekł, — daj pokój wyszydzaniu rzeczy, których nie rozumiesz. Kwestja kobieca ma wielkie znaczenie; w niej tkwi idea sprawiedliwości i równouprawnienia, chęć wykazania wobec społeczeństwa, że każda istota ludzka, bądź to mężczyzna, bądź kobieta, jednakowo z ustaw jego korzystać winna. Rozstrzygnięcie jej na korzyść praw kobiety, — będzie to tryumf, święcony przez etykę ogólnoludzką, porażka siły brutalnej wobec prawdy i słuszności, — będzie to zwycięstwo, odniesione przez Or-

muzda nad Arimanem. Tak samo jak niewolnictwo zniknęło pod wpływem cywilizacji, tak też niewola kobiety, białej tej murzynki, raz skończyć się musi. Społeczeństwo winno wreszcie uczyć w niej człowieka, jeśli dalej chce kroczyć pod sztandarem humanizmu.

— Ależ Gustawie! co znaczy niewola kobiety?—pytała dalej Andzia.—Czy my, braciśku, naprawdę jesteśmy wszystkie, jak murzyni czarni i, jak robocze woły, uginamy się pod batem naganiacza — społeczeństwa?

— Niewola kobiety — odparł Gustaw, — uczuwać się daje każdemu nieuprzedzonemu umysłowi. Czy to sprawiedliwe, że kobieta bywa usuwaną od obowiązków społecznych, że się jej naznacza tak ciasny zakres, takie podrzędne stanowisko? Od niej wymagamy, ażeby była żoną, matką; podczas gdy my sami, będąc mężami, ojcami, wysokie społeczne pełniemy jeszcze obowiązki, do wielkich zmierzamy celów. Czy pozostawianie kogoś w ciasnym obrębie czynności podrzędnych nie jest niewolą, ograniczeniem? Dla tego też kobieta winna walczyć o prawa swoje i domagać się od społeczeństwa zadosyć uczynienia słusznych swych roszczeń.

— Mnie się zdaje,—odezwała się rezolutnie Andzia,—że przesadzasz, że zakres dzia-

talności kobiety szczupłym bynajmniej nie jest. Pełni ona obowiązki żony, matki, gospodyni; wychowuje przyszłe pokolenie i podtrzymuje cały gmach społeczny, którego główną podwaliną, o czem niedawno czytałam, jest rodzina, a najszlachetniejszym filarem—kobieta.

— Podwalina już stara i omszała, — odparł, — a w samym gmachu ciemno i chłodno.

— Trzeba go więc podeprzeć, — wymówiłam nieśmiało, z wewnątrz oświetlić i to też winno być zadaniem kobiety. W mury rodzinne powinna ona wnieść promień światła duchowego, a niebawem za jej wpływem liściemi i wonnem okryją się kwieciami.

Gustaw chciał się odezwać, lecz Andzia przerwała mu wesoło.

— Ależ daj już pokój górnolotnym frazesom i idźmy na herbatę. Zobaczysz, Rachelo! jak temu filozofowi doskonale smakować będą ciastka i konfitury, moją przyrządzone ręką—ręką białej murzynki.

I wśród śmiechu poszliśmy na górę.

Rzecz dziwna! W tej kwestji nie podzielałam zapалу Gustawa, którego zdanie pod każdym innym względem zwykłam była uważać za wyrocznię. Nie mogło mi się tym razem pomieścić w głowie, ażeby kobieta miała opuścić ciche wnętrza domowe i zająć miejsce na ławie uniwersyteckiej;

ażeby śmiało dążyć miała, zarówno jak i mężczyzna, ku najwyższemu szczytowi potęgi i sławy społecznej... A co się z opuszczonym ogniskiem stanie?—myślałam sobie. Kto podsycać będzie ów znicz święty, gdy kobieta—kapłanka mury świątyni opuści?

I przypomniałam sobie słowa ojca mojego o powołaniu kobiety i dziwnie one na teraz zgadzały się z własnym moim poglądem. „Kobiety światem są ciche ściany jej domostwa, doniosłością pełnienie enót rodzinnych”—powtórzyłam z przekonaniem słowa ojca. Tak! Kobieta wszak dla kursów i wyścigów nie stworzona, jej życie najprzejemniej w kole rodzinnem upływa. Czulałam to po sobie. Wiedziałam, iż gdyby mi przyszło wyrzec się życia domowego, — naówczas nie, najwyższe cele nawet i zaszczyty, zastąpiłyby mi go nie zdołały. O ile bowiem chętnie się do nauki i światła garnęłam, o tyle czulałam, że za nie bym skłonić się nie dała do obciążenia długich moich warunków i do przestąpienia progu wielkiej sali uniwersyteckiej. I na cóż? Czy tylko tam, w tych zimnych, szarych murach, rozstrzygnąć się ma wielkie pytanie o prawach kobiety, czy nigdzie więcej? Czy nie może kobieta walczyć o nie, pełniąc ciche swe obowiązki domowe i czy raczej nie powinna ona być pewniejszą zwycięstwa, skoro

usilnie będzie pracować, by przesąd i zaco-fanie wśród najbliższego swego wytepić otoczenia.

Czy to z powodu słabego rozwoju umysłowego, lub też dawnych, głęboko jeszcze wkorzenionych we mnie przesądów, ogarniał mnie pewien lęk niemal, gdy Gustaw, lub który z jego kolegów, tą samą nowoczesną opanowanych idea, roztaczał przedemną dalekie horyzonty przyszłej wielkości i działalności kobiety; gdy, pełen entuzjazmu, opowiadał o dalekich pionierkach, śmiałym krokiem innym swym siostrzycom drogę do zaszczytów torujących, o placówkach, przez nie zajmowanych i o szerokich, do zdobycia pozostałych jeszcze kresach. A kresy te rozciągały się dalekie, dochodziły do wrót parlamentu, sięgały izby ministrów, a poza nią dalsze jeszcze wylaniały się drogi.

Przerażona ogromem tych obszarów, jakie duch kobiecy, zdobyć usiłował, czułam się wobec niego zmalą i zkarłowaciałą. Zda-wało mi się, że przez szczególne, wrodzone mu niedoleżtwo umysł mój wielkości zadania tego pojąć nie był w stanie; że brakło mu poczucia rzeczy wzniosłych i idealnych, że brakło mu poletu i energii.

Natomiast fantazja uroczym swym pędzlem malować poczęła obrazek szczęścia, jakiego młoda kobieta w rodzinie, u boku

oświeconego męża doznać mogła. Był to obraz cichy, pełen światła i harmonji. Tło było jasne, a na niem, wśród drzew i zieleni wylaniał się domek maleńki, gdzie u progu młoda małżonka witała wracającego po całodziennej pracy męża. Wnet na jego lice występuje wyraz pogody, który wygładza zmarszczki i z czoła smutek spędza. Silnem ramieniem obejmuje kobietę i do wnętrza wprowadza. Tam do wspólnej zasiadają biesiady, do wspólnego czytania i rozmowy, a w każdym słowie czuć spójnię duchową i wzajemną sympatję.

W ostatnich tygodniach obraz ten częściej coraz zjawiał się w marzeniach moich i z większą coraz przyglądałam mu się przyjemnością. Zdawało mi się niekiedy, że pomiędzy mną, a ową szczęśliwą mieszkanką cichego ustronia dziwnie blizka zachodziła spójnia i dziwne podobieństwo. Marzyłam o tem, że i ja kiedyś głowę skłonię na łono mężczyzny, a on silnem obejmie mię ramieniem i do serca przycisnie. A obraz ten, fantazją snuty i widziany, stał się dla mnie obrazem własnej mojej przyszłości, własnego szczęścia rodzinnego.

Wnet w kobiecie owej ujrzałam samą siebie: ta sama postać, oczy, włosy i to samo w piersi uczucie, to samo kochające serce,— tak, to ja! I marzeniem rozkołysana, spuszc-

czalam oczy, by drugiej przed sobą nie ujrzeć postaci, -- postaci mężczyzny, bo przed okiem duszy mignęła piękna twarz Gustawa.

Czas w ten sposób sunął dalej. Gustaw cały rok prawie w domu przesiedział; bo choć od czasu do czasu jeździł do stolicy, prędko jednak wracał i gorliwie zajmował się w domu lekcjami, jakie koledzy uniwersyteccy wiernie mu przesyłali. Wolny czas poświęcał mnie i Andzi; czytywał nam, objaśniał, rozwijał tezy naukowe i idee nowoczesne. Lecz nieraz, gdy trudniejszy z książki tłumaczył ustęp, a ja wzrok podnosiłam, by lepiej zrozumieć myśl, w słowach jego zawartą, rumieniłam się i mocniejsze czułam serca bicie, bo spotykałam wzrok jego, utkwiony we mnie z nieopisanym jakimś wyrazem. Natenczas oczy co prędzej na rozwartą spuszczałam książkę, której treść w owej chwili stawała się dla mnie mniej zajmującą.

Byłam szczęśliwą i chciałam, ażeby moi rodzice to szczęście ze mną podzielili. Widząc mnie wesolą, ojciec mój o wiele laskawiej zaczął na książki moje i studja spoglądać. Wyraźnie mu nawet schlebiało, gdy widział, że w inteligentnych bywałam towarzystwach, że mnie wszędzie witano i przyjmowano z szacunkiem. Nieraz miał sposobność usłyszenia pochwał, jakich mi ogólnie

nie szczędzono, co do mego rozsądku, zdolności i wykształcenia, — natenczas śmiał się radośnie, wzruszenia ukryć nie będąc w stanie. Lecz później posepniał i wyraz troski oblicze mu osłaniał. Nic nie mówił, wzrok tylko, jakim mię ogarniał, zdawał się wyrażać: czy to zdoła ci szczęście przynieść?

Niemniej i matka moja stawała się coraz smutniejszą. Ona, ta bezpieczna istota, miała często łzy w oczach, gdy je na mnie zwracała, lub gdy o przyszłości mojej mówiła. Przerażona, zapytałam raz matki mojej o powód jej płaczu, lecz długo nie mogłam z niej odpowiedzi dobyć. Po długim wreszcie wahaniu przyznała się, że to z powodu dotychczasowego mego panieństwa.

— Matką jestem — mówiła, nie mogąc nad wzruszeniem zapanować, — i serce we mnie płacze, gdy pomyślę, że ja i ojciec twój jesteśmy już podeszli w wieku, że nas śmierć zaskoczyć może, a ty pozostaniesz na szerokim świecie sama, w doli sieroczej sierotą; gdy widzę, że inne tve rówiennice powychodziły już zamaż, a ty, nieboga, siedzisz i nie możesz partji zrobić. To są troski, które mi życie skracają i które jeden Bóg tylko usunąć może.

— Ależ, mamó! — zawołałam, — ty chyba seryo nie mówisz. Nie mam przecie jeszcze

lat trzydziestu i myśl o staropaniństwie mojem trwogą przejmować cię nie winna.

— Dziecko moje!—smutnie odparła;—masz już rok dziewiętnasty i najwyższa to dla panny pora. Ja miałam wszystkiego lat sze-snaście, gdy mię ojciec twój zaślubił i od rodziców pięknie otrzymałam wiano. Ty zaś, biedne dziecko moje, posagu nie masz. Dar-emnie pracą i oszczędnością szczupły chcie-liśmy dla ciebie zebrać kapitałik; ostatnie złe lata pochłonęły to, cośmy w pierwszych odłożyli. Dlatego też swaci tak gorliwie dom nasz omijają, wiedząc, iż bezposazną jesteś panną; dlatego z żadną dla ciebie nie przychodzą partją. A przecie tyś sama więcej warta, aniżeli złoto, bo jesteś pię-kną, dobrą i rozsądną.

— Ależ mateczko!—powiedziałam ze śmie-chem, — czy godzi się smucić o podobną bła-hostkę? Swaci mądrze robią, że nie przy-chodzą, bo czują, jak niemiłymi byliby dla mnie gośćmi. Nie! podobnie, jak owa śpiąca księżniczka w bajce, oczekuję ja też pię-knego królewicza, który do mnie na białym rumaku przypędzi, pochwyci w ramiona i do pięknego swego pałacu wprowadzi.

Matka moja smutnie się uśmiechnęła.

Kółko nasze towarzyskie coraz bardziej się ożywiało. Przybyło nam kilku młodych ludzi, a między innymi Leon Zaud, młody

jurysta, od niedawna w naszym mieście osiadły. Z początku nie mógł on sobie klienteli wyrobić i byłby niezawodnie wyjechał, gdyby nie to, że, jak rozpowiadano, szukał też panny posażnej, jaką miał nadzieję w X. znaleźć.

— Nie mało też przyczyniła się do ożywienia naszego towarzystwa Paulina S., dla której wielką odrazu powzięłam przyjaźń. Córka ubogich rodziców, skończyła gimnazjum i głębszą posiadała inteligencję. Przeszłości jej nie znałam, lecz przeszłość ta musiała być smutną, bo nieraz, gdy Paulina mówiła, smutny uśmiech błędził w kątach ust, coś, jakby zwątpienie i przesyt.

Pociągała siłą wymowy, trzeźwością sądu i wyraźny stanowiła kontrast z Ewą Enk, która lekkim i płytkim odznaczała się umysłem. Często rozmowy nasze wracały ku tematowi powołania kobiety i warunków jej istnienia, a rozmowy te głośnie zazwyczaj wywoływały sądy. Najbardziej w takich razach gorączkowała się Ewa, która dowodziła, że wszystkie kobiety, jak jeden mąż, powstać powinny, by ogniem i mieczem torować sobie drogę do uniwersytetów i akademji, do których tak niesłusznie mają wstęp wzbroniony.

— Lecz zapominasz, Ewo,—odezwała się Andzia,—że ojciec twój zapału twego nie

podziela, zupełnie inne bowiem snuje on względem ciebie zamiary. Pragnie on niestety! za męż cię wydać i zamknąć w tej atmosferze, o której z taką mówisz odrazą. Przytem, moja kochana! chcąc zagranicą wstąpić na uniwersytet, do czego, jak widzę, wyraźnie dążysz, należałoby ci pierwej przedstawić świadectwo z ukończenia średniego choćby zakładu naukowego, a ty przecie, kochana Ewo, o ile mi wiadomo, podobnego świadectwa nie posiadasz. Musiała byś zatem zacząć gorliwie pracować w zakresie przedmiotów szkolnych, ażeby móżdżek wstępny później złożyć egzamin.

— O! tak źle nie jest, — odparła Ewa. — Potrzebny mi patent z ukończenia jakiegokolwiek bądź pensji, obawa twoja przeto zupełnie płonna. Co zaś do zamążpójścia — to mi się ono bynajmniej nie uśmiecha. Powiedziałam też swemu papie, ażeby sobie partjami dla mnie niepotrzebnie głowy nie zawracał, że za męż nie wyjdę, a pojedę do Paryża, z kąd powrócę z tytułem doktora medycyny, lub filozofji, co za granicą tak łatwo można zdobyć. A gdy ojciec mój, opierając się na powadze swej ojcowskiej, nakazał mi surowo podobnie głupie, jak je zowie, idee wybić sobie z głowy; odparłam rezolutnie, że my, nowoczesne kobiety, pionierki emancypacji i postę-

pu, powagi ojcu, ani praw matce nie przyznajemy, że względem nich do obowiązku posłuszeństwa się nie poczuwamy, że czynię zatem tak, jak postanowiłam. Ojciec, w najwyższym stopniu oburzony, wybiegł z pokoju, a ja, pragnąc dowieść energii słów moich i siły postanowienia, ucięłam sobie włosy i zapaliłam cygaro, które, nawiasem mówiąc, gorzkie było i niesmaczne.

— Jakże można było w podobny sposób do ojca się odezwać — powiedziała wzburzona, — i z powagi jego tak się naigrawać! Przecie wyżej od praw społecznych stoją prawa natury i serca, po których deptać nie należy w imię źle zrozumianych haseł postępu.

— Poznaje, że wy ich nie rozumiecie i żeście się dotychczas przesądów, waszej sferze właściwych, nie pozbyły, — odparła urażona Ewa.—I o jakich to dobrodziejstwach prawicie, przez rodziców nam jakoby wyświadczanych? czy, że nas na świat wydali, lub, że w późniejszych latach otaczali opieką? Ależ czynili to przez egoizm, jakim i w danym razie się rządzą, gdy chcą, abym lepsze swe przekonania ich poświęciła miłości. „My, co nową chcemy stworzyć erę, tocząc walkę dla całej ludzkości, nie powinniśmy dać się wstrzymywać w pochodzie jednostkom, lecz co prędzej z drogi je

usuwać i dalej zwyciężkim postępować krokiem. Jednostka musi ginać dla ogółu, jeśli inaczej być nie może". Czyje to słowa, pannie Gustawie?

Gustaw ramionami wzruszył.

— Tak, — wymówił, — wzniosłe to idee, w złą i fałszywą niekiedy obleczone formę, piękne dla wtajemniczonych tylko. One, nakształt światła, mogą zbląkanemu właściwą ukazać ścieżkę, lub też, jak błędny ogień, harce swe nad bagnistą wyprawiający głębiną, podróżnika do swej zwabić przepaści. Palma temu, kto umie odróżnić światło od ognika i w bagna się nie zapuszcza.

— Lecz stokroć bardziej godzien palmy ten, kto przy skromnej lampce w swoim siedząc pokoju, o ognikach waszych i przepaściach pojęcia nie ma, — zawołała Andzia. — Ewo! ja się tobie wydziwić nie mogę. Ty, coś się przed laty tak namiętnie stroić lubiła, co takie hojne składałaś dary bożyszczu mody, nagle stałaś mu się niewierną i innego poszukujesz bożka. Co ci się stało, czemu mam tę zmianę przypisać?

— Nowej tylko modzie, — odparł z przekąsem adwokat Zand, — która niechybnie innej znowu miejsca ustąpi. Nie przystoi bowiem pannie edukowanej, ażeby się kwestją emancypacyi, która teraz cały świat inteligentny zajmuje, interesować nie miała. Lecz,

skoro minie zapal i gorączka, idealne zamiary, jak bańka, się rozprysną. Kobiety powrócą do dawnych swych bożyszcz: do powłóczystych sukien, długich włosów i wysokich kapeluszy.

— Panie adwokacie! czy pan to zdanie swoje stosuje do całego rodzaju kobiet, lub do pewnych tylko jego jednostek? — zagadnęła po raz pierwszy Paulina. — Niezawodnie pan ma na myśli te tylko z siostrzyc naszych, które, same żyjąc dostatnio i swobodnie, znaczenie emancypacji kobiet pobieżnie, lub pozornie tylko odczuwają.

— Nie, pani; mówię o wszystkich kobietach w ogóle, — odparł pan Zand z ironią. — Są one wszystkie córami Ewy i wszystkie do matki swej podobne.

Zdanie to z pewnym wymówił naciskiem.

— Nie dopuszczam wyjątków, — ciągnął, — i jeszcze raz powtarzam, że kwestja emancypacji, skoro przestanie być „nouveau-té du jour”, przez teraźniejsze swoje adeptki zapomnianą zostanie.

— Dobra sprawa na tem nie cierpi, że kilku lekkomyślnych sztandar jej opuszcza i do przeciwnego przechodzi obozu, — żywo zawołał Gustaw. -- Zdrada kilku, lub kilkunastu na ogólną organizację najmniejszego nie wywiera wpływu, ujemnie na całość nie oddziałują nigdy.

— Wszak nie o kilku tylko mówię dezerterach, lecz o całym walecznym pułku kobiet,—zawołał ze śmiechem pan Zand.

— I na czym pan swoje głębokie wnioski opiera?—przerwała Paulina.

— Opieram je na znajomości charakteru i serca kobiety, — odpowiedział pan Zand. Znam jej brak stałości, jak niemniej zamiłowanie blahostek i płytkość myśli.

— O! studja pańskie zbyt jednostronne. Pan miałeś sposobność badania kobiet sfery tej, w jakiej sam się obracasz, lecz nie chciałeś się pan zniżyć do tego stopnia, by wzrok swój orli i badawczy zwrócić w stronę tych, które, wyżej umysłowo rozwinięte, niższe jednak w hierarchji społecznej zajmują stanowisko.

— I kogoż to pani ma na myśli?—zapytał sarkastycznie pan Zand.

— O, myślę o tych, dla których kwestja emancypacji jest zarazem kwestją życia i bytu, nie szumnym wyrazem, pozbawionym treści; co, ciężko pracując, o długich, eleganckich sukniach myśleć nie mają kiedy, bo myśl zwróconą mają ku temu, by o krwawym pocie zdobyć kawałek suchego chleba dla siebie i schorzałej swej matki; co, piękne i młode, usunięte od biesiady życia, —daremnie wychudłe podnoszą ramiona, by jeden choć owoc urwać z drzewa, które

obeiżone swe gałęzie ku innym tak blisko skłania. Pozbawione wszelkich w życiu przyjemności, wyzute ze wszystkiego, buntują się w duszy przeciw społecznym przesądom, które prawa ich tak nielitościwie gwałcą.

Owe wyrobnice igły, których palce pokrwawione i wybladłe lica najoczywiściej dowodzą, że na wytrwałości i energii nie zbywa im wcale, — czy pan sądzi, że zapomną kiedyś, iż te same, co i inni, mają prawa do życia i szczęścia ludzkiego? Bezsenne ich noce, wzrok zapadły są owymi wymownymi oskarżycielami, co głośno wołają o równoprawnienie kobiety. A ów liczny zastęp nauczycielek i guwernantek, — ten proletarjat inteligentny, czy sądzi pan, że one umilkną? skłoni pod jarzmo istniejącego obecnie porządku? Nie! one walczyć o swe prawa, dopóki sił starczy, nie przestaną i dopóty napierać będą kratę swego więzienia, póki ta pod naporem nie pęknie.

— O! jakże je pani strasznie przedstawia, jak prawdziwe sankiulotki, — zawołał, śmiejąc się Zand. — Szkoda tylko, że w życiu inne zupełnie spotykamy postacie; są to istoty bierne, bez energii, które po pięwszych napotykanych trudnościach się cofają i z ogólnym rzeczy stanem się godzą, co najwyżej spazmy, lub lekką wywołuje migrenę.

— Tak, — z goryczą rzuciła mu Paulina, —

bo pan, badacz serc kobiecych, studja swe robi w bogatych salonach,  rod przepychu i zbytk w, a djagnoz  sw  pan stawia na zasadzie panuj cej tam pustki moralnej i nie-stałych kaprys w kilku nerwowych, arystokratycznych swoich klientek.— Studjowa s pan charakter kobiety ubranej w jedwab i koronki, lecz, panie adwokacie, czy raczy-les pomysleć kiedy o tem, jaki jest swiat moralny, jakie uczucia tej w szare i ubogie szaty ubranej szwaczki? Pan patrzył i patrzy w blask i złoto, nie w ciemni  i n dż , przeto s d pański nie trafny, poniewa  oczy, blaskiem złota ol nione, optycznemu najcz ściej podlegaj  złudzeniu.

Pan Zand przygryzł wargi i umilkł.

Paulina nie lubiła pana Zand, ja te  życzliwego dlań nie żywiłam uczucia. Cały wiecz r w liczne nieraz przesiedzieć m gł towarzystwie, nie zagadn wszy o nic nikogo, bacznie tylko obserwuj c i nasłuchuj c innych. Cz sto u miech sarkastyczny osiadał mu w k tach ust i wnet znikal; lub, podchwyciwszy sł wko jakieś, przez naiwne usta wypowiedziane, powtarzał je p łgłosem z odcieniem ironji. Jednak, gdy chciał, umiał być zajmuj cym. Opowiadał wtedy z tak porywaj c  wymow , i  wszyscy z najwi ksz  słuchoali go uwag . Posiadał wiele wiadomo ci i umysł niezwykły.

Spctykałam go często w towarzystwie, lub na spacerach, lecz nigdy w dłuższą nie wdawał się ze mną rozmowę, na sztywnym najczęściej ograniczając się ukłonie; niemniej ceremonjalnie Paulinę witał i traktował. Natomiast zupełnie innym przemawiał tonem do Ewy i Andzi. Naraz stawał się wobec nich tak grzecznym, nadskakującym, że sobie zmiany podobnej nigdy należycie wytłumaczyć nie umiała; służył im uprzejmie przy zdejmowaniu i wdziewaniu okrycia, podawaniu rękawiczek, lub inne tym podobne świadczył grzeczności, dalekim będąc od punktu świadczenia nam przysług w równie rycerski sposób. O ile to z początku uszło mojej uwagi, o tyle później, przy nasuwajacem się coraz częściej porównaniu, uderzyć mie musiało.

Poczułam żal do niego za to umyślne jakoby lekceważenie, lecz niebawem zaczęłam spostrzegać, czego dotychczas nie zauważyłam wcale, że i reszta męskiego towarzystwa o wiele mniej poszukiwała znajomości ze mną, lub Pauliną, częściej czychała na sposobność wypowiedzenia komplementu Andzi, lub Ewie, dla których z przesadną byli wszyscy grzecznością. Dla czego? Czy Paulina posiadała mniej danych podobania się i wywoływania pochwał, jakimi panowie tak hojnie szafowali dla tamtych? Mniej-

sza o pochwały, lecz czemu przypisać to wyraźne wynoszenie jednych, nad drugie, skoro tych pierwszych wybitniejsze nie cechowały zalety, ani powabniejsza powierchowność nawet? Były to rzeczy dla mnie niezrozumiałe, lecz na razie nie łamałam sobie głowy nad rozwiązaniem onych. Budziłam się z myślą o Gustawie, marzyłam o nim, on był dla mnie wszystkim. W jego obecności nie dręczyła mnie niepewność, ogarniała mię wtedy uczucie radosne, wątpliwości znikwały. Gustaw wiernie dotrzymywał mi wszędzie towarzystwa. Na spacerach, zabawach, w najliczniejszych choćby zgromadzeniach mnie głównie szukał, ze mną mówić pragnął, do mnie się uśmiechał. Grzeczności mi nie prawił, lecz czytałam w oczach jego, słyszałam w głosie, że rozmowa ze mną sprawiała mu przyjemność, że wciąż o mnie też myślał, że miłą mu byłam. Czyż poznać tego nie mogłam, choć słowa „kocham“ z jego ust nie usłyszałam jeszcze. Czulałam przecie po sobie, mówiło mi głośnie bicie serca, gdy rękę mą ścisnął; przekonywał smutek, jaki mię ogarniał, gdy o rozstaniu naszym pomyślałam. Wiedziałam bowiem, że wkrótce wyjedzie na długo, na rok cały, powiedział mi sam o tem. Tłomaczył konieczność wyjazdu programem ostatnich dwóch lat uniwersyteckich, potrzebą

zwiedzania klinik, sali anatomicznej i t. d. A gdy mówił o blizkim swoim wyjeździe, wydawał się być mocno wzruszonym i tak wymownie poglądał na mnie, że w owej chwili dopiero poczułam, że kocham go, że ukochałam go już dawno.

Było to w przeddzień wyjazdu. Nazajutrz, skoro świt, miał Gustaw w drogę wyruszyć. Wieczorem liczniejsze przeto, niż zwykle, zgromadziło się towarzystwo, by go pożegnać i rodziców smutek rozpedzić. Śmiano się i bawiono. Tworzono plany przyszłości Gustawa, jak za dwa lata powróci udoktoryzowany i, w dyplom uniwersytecki zbrojny, niebawem pocznie recepty wydawać i pieniądze do kieszeni zgarniać. Pytano go, jaką sobie takse ustanowi, proszono, by przyjaciół leczył gratis, by zbyt gorliwie pacjentów swoich *ad patres* nie wyprawiał i t. d. Gustaw śmiał się, lecz śmiech jego był wymuszony, smutny prawie. Ja siedziałam na uboczu i udziału w rozmowie nie przyjmowałam; cały dzień czułam się dziwnie pomieszana. Stan mój nie uszedł uwagi matki mojej, lecz wytłomaczyłam go gwałtownym bólem głowy, jaki chwilami dokuczał mi istotnie.

Śmiech i żarty, jak fałszywy ton, wpadały mi do ucha i drażniły mię bardziej jeszcze. Podniosłam się i, ostrożnie wysunawszy

się z salonu, zeszłam do ogródka. Siadłam tam na ławeczce, a głowę oparłam na rękę. Cisza panowała wokoło, natura zdawała się być w głębokim śnie pogrążoną. Kiedy niekiedy tylko lekki powiew liście poruszał, wywołując tajemniczy szmer, niby cichy szept dwojga tęsknych kochanków.

Okiem objęłam cały obszar ogródka, mglistą, wieczorną zasłoną zakwieconego i zamysliłam się głęboko.

Myślałam o tem, że go tak prędko nie zobaczę, że jutro opuści on cichą tę ustron i wyruszy w świat, gdzie nowi otoczą go ludzie, gdzie nowych dozna wrażeń. Rodzime uczucia zatarte zostaną, zapomni dawnych przyjaciół i wśród nowych, życiowych stosunków pamięć nawet o przeszłości w nim zagaśnie. I o mnie zapomni, przestanę dlań istnieć i uczuciem swem inną obdarzy kobietę.. A ja? co się ze mną stanie? I czułam, że wraz z utratą miłości jego świat straciłby dla mnie najpiękniejszy ze swych czarów, najtrwalsze ze swych ogniw. Próżnia zajęłaby pełnię życia, przesyta i zniechęcenie—wesołość i pogodę umysłu.

— Nie, tak być nie może!—wymówiłam głośno prawie i mocno, ciężko odetchnęłam.

— Co być nie może?—szepnął głos znajomy i przy świetle księżycyca ujrzałam twarz

Gustawa, oczy jego, tkliwie we mnie wpa-
trzone.

Drgnęłam i krzyknęłam mimowolnie.

— Co być nie może, Rachelo? — powtó-
rzył, po raz pierwszy zowiąc mię po imie-
niu i ujął moją rękę.

Poczułam prąd ognisty, nawskroś mię
przejmujący i szepnęłam, wzruszeniem opa-
nowana, kryjąc twarz w dłonie:—Jakże mi
będzie tęskno bez pana!

Gustaw mocniej uściskał moją rękę, usiadł
przy mnie, i, tuląc do siebie, począł mówić
o miłości swojej dla mnie, o tem, że go
myśl o mnie nigdy nie opuści, że mię kocha
szczerze i gorąco.

— Wyjeżdżam na długo, — mówił;—lecz
dusza moja pozostanie tutaj, u progu domu
twojego, gdzie codzien cię szukać i witać
będzie. Pamięć o tobie uwiozę ze sobą w ser-
cu, jako talizman, co mię od wszelkiej uchro-
ni pokusy, od wszelkiego ustrzeże zwątpie-
nia. Twój wdzięczny obraz zdaleka przy-
świecać mi będzie, jako gwiazda przewodnia,
jako światło życia mojego. Czy mi wierzysz,
Rachelo?

Wierzyłam. Wierzyłam sercem młodem,
pełnem uczucia szczęścia i roskoszy, które,
wezbrane, wylewało się w słowach gorących,
namiętnych.

Długo siedzieliśmy we dwoje, on, snując

obraz przyszłości,—ja, wsłuchana w czarowny dźwięk słów jego, co rajska wydawały mi się muzyką.

Siedzieliśmy sam na sam wśród tajemniczej ciszy, szelest tylko drzew zdawał się naszym przysięgom wtórować i plany poufne dzielić. Miłość nasza miała też pozostać tajemnicą aż do chwili, w której Gustaw będzie mógł ufnie stanąć przed ojcem moim i o rękę moją poprosić.

Smutne było rozstanie nasze, tkliwy ostatni uścisk. Jeszcze słowo, jedno jeszcze zapewnienie i—rozstaliśmy się.

Wbiegłam do pokoju cała pomieszana, jakby gorączką trawiona. Położyłam się do łóżka, lecz długo usnąć nie mogłam. W uszach brzmiał mi nieprzerwanie ten szept miłosny, widziałam te oczy iskrzące, marzyłam o barwnej przyszłości, o obrazach pięknych i uroczych.

Nazajutrz i dni następnych byłam mało mówna i w sobie zamknięta. Nie mogłam tak prędko z doznanego ochłonąć wrażenia i zapanować nad uczuciem, które w sercu osiadło głęboko. Gdziekolwiek byłam, w którąkolwiek się stronę zwróciłam, — wszędzie widziałam Gustawa, słyszałam głos jego, słowa, zaklęcia. W sercu podniosła brzmiała nuta, i nastrajała mię ona poważnie, uroczyście.

W pierwszych dniach po wyjeździe Gustawa osamotnienia nie czułam, żyłam bowiem nowemi wrażeniami, uczuciem nowem. Lecz stopniowo, w miarę, jak się nimi oswajałam, tęsknota i poczucie samotności głębiej ogarniać mię poczęły. Nigdzie miejsca, w niczem rozrywki nie mogłam znaleźć i nawet książka ulgi przynieść mi nie zdołała. Wszędzie czułam pustkę i brak czegoś, po całych dniach lubiłam śnić i marzyć, lub najdrobniejsze choćby przypominać szczegóły minionych niedawno wypadków.

Zaszła we mnie zmiana uwagi rodziców moich na pewno ujść nie mogła. Musieli ją po swojemu tłumaczyć, skoro żadnych pod tym względem nie czynili mi zapytań; pogładając na mnie, ciężko jednak wzdychali i czoło ręką tarli. Ojciec mój w ostatnich czasach zaczął mocno na zdrowiu upadać, ku czemu głównie złe przyczyniły się interesa, z jakimi wiecznie się borykał, a których dźwignąć nie był jednak w stanie.

Gryzłam się też i współczułam ojcu, żalując w głębi serca, iż fachowego nie posiadałam wykształcenia, dzięki któremu materialnie mogłabym mu ulżyć. Chciałam pracować i zazdrościłam tym, co zdolności swe praktycznie wyzyskać umieli, co sobie i innym własną pracą byt stwarzali. Lecz nie wolno mi było nie postanowić. Ojciec mój

bowiem, przed którym myśl swą wynurzyłam, oświadczył mocno urażony, iż dopóki sił i zdrowia mu starczy, córce swojej w żadnym fachu pracować nie pozwoli.

W ogóle twarze moich rodziców nie nosiły na sobie już teraz śladów dawnej pogody. Najczęściej zafrasowane, zdradzały smutek i niepokój tajemny. Matka często z czerwonymi od łez wstawiała oczyma, a w mieszkaniu od czasu do czasu głuche rozlegały się westchnienia. Pocieszałam, ile mogłam, tłumaczyłam, że złe czasy przeminą i lepsze dni nadejdą. Zgnębienie ich złym bowiem przypisywałam czasom, na jakie i inni nieraz utyskiwali, lecz nie wiedziałam, że ono z innego zupełnie wypływało źródła, że pochodziło z obawy niepewnego losu córki.

Pewnego razu, a było to w kilka zaledwie tygodni po wyjeździe Gustawa, wszedłszy do mieszkania, ucieszyłam się niezmiernie, gdy ujrzałam matkę moją z wesołym, pogodnym wyrazem twarzy. Śmiała się, w najlepszym, widocznie, była humorze. Ojciec mój siedział na kanapie i zdawał się być nie mniej zadowolonym.

Po drugiej stronie stołu, całym korpusem o niego wsparty, roztasował się w fotelu mężczyzna już nie młody, który krojem sukni i manierami przypominał innych żydów sfery ortodoksyjnej, lecz bardziej ja-

koś był swobodny, bardziej poufały. Za mojem wejściem ucichła rozmowa i oczy wszystkich spoczęły na mnie. Matka wskazała mi miejsce obok siebie, które też, rozciekawiona, zajęłam. Gość wpatrzył się we mnie z widocznem upodobaniem, poczem szepnął kilka słów ojcu, który potakująco kiwnął głową. Następnie z samochwalczą miną począł opowiadać o licznych swoich, zagranicy aż sięgających stosunkach, o stadłach małżeńskich, świeżo przezeń skojarzonych. Poczem wydobyl z kieszeni paczkę listów, z których kilka podsunął ojcu mojemu do przejrzania. Matka moja z widocznem patrzała nań uznaniem i uśmiechała się pogodnie. W końcu jegomość ów, zbliżywszy się do mnie i palcem wskazując adres, niewprawną poniekąd napisany ręką, zagadnął, jak mi się charakter owego pisma podoba.

— Nie zły, — obojętnie odpowiedziałam.

— O! pismo — pismo piękne; — podchwycił z entuzjazmem, — pisał je młody człowiek, bardzo edukowany, który wciąż jeszcze pisać się uczy; nie prostak jakiś, majątny, ładny i jedynak. Proponują mu też najpiękniejsze partje, — mówił dalej, zwacając się do matki mojej, — lecz rodzice, ludzie dostatni, o pieniądze niedbając, dla jedynaka swego szukają panny z dobrego domu, ładnej i dobrze wychowanej.

Rodzice moi nabożnie milczeli, potoku słów jego nie przerywając; on zaś, wyczerpawszy obfity swój temat rozmowy, pożegnał ich wkrótce, zapowiedziawszy, że za dni kilka zgłosi się do nich po odpowiedź.

Po odejściu jego od śmiechu dłużej powstrzymać się nie mogłam, tak mi się w mowie jego wydawało wszystko śmiesznem i zabawnem. Poznałam od razu w człowieku tym, po wstępnych zaraz słowach, swata, jakiego matka moja tak tęsknie wyglądała, i, zaciekawiona, słuchałam, kogo też swatać zamierza. Usłyszawszy rysopis i zalety młodego do ręki mojej kandydata, od mimowolnego wybuchu wesołości powstrzymać się nie mogłam, w myśli nieletniego jeszcze przedstawiając sobie wyrostka, niewprawnie po papierze piórem wodzącego, co w mniemaniu swata wyższą oznaczało edukację. Biedny ty, mój ludu,—biedny ty, ociemniały kaleko! — I wnet smutno mi się zrobiło, a uśmiech zamarł na ustach.

— Czemu tak posmutniałaś, Rachelo? — zagadnęła po chwili matka, czule mię ścisnąc. — Czy cię przeraża perspektywa opuszczenia domu rodzicielskiego? Ale widzisz dziecko drogie! powiedzianem jest, że dziewczę opuści dom ojca i matki i za prawym swoim pójdzie małżonkiem. Porządek ten od wieków datuje, Bóg w bezgranicznej

swej ustanowił go mądrości, a my, żydzi, stosować się doń powinniśmy. Mąż zastępuje ojca i matkę, brata i siostrę; obejmuje nad żoną opiekę i do swego domu wprowadza. I ty odjedziesz nas, córko jedyna! opuścisz starego ojca i matkę, lecz oni na drogę błogosławić cię będą.

I, wzruszeniem opanowana, płakać poczęła.

— Ależ, Zeldo!—odezwał się ojciec z wymówką. Czy godzi się siebie i innych zasmucać? Miłość rodzicielska wolną być winna od samolubstwa, a szczęście upatrywać jedynie w szczęściu dziecka swojego. Nie myślmy więc o własnej tęsknocie, lecz pocieszmy się nadzieją, że córka nasza będzie szczęśliwą.

— Rachelo! — mówił dalej, zwracając się ku mnie, — ty niewiesz, może, że odkąd doszłaś do dojrzałości, jedyną naszą myślą, jedynym serca życzeniem było — wydać cię uczeiwie za męża. Było to marzeniem, ale i troską nocy moich bezsennych, gdy bólem trawiony, miotalem się na łóżku, myśląc o niemożności wyposażenia dziecka swojego. Pracowałem w pocie czoła, walczyłem zawzięcie, by zdobyć nieco grosza, bo zbyt dobrze wiedziałem, że przy zawieraniu partji najpotężniejszym czynnikiem ze strony panny bywa posag i wiano: Daremne były

moje zachody, los uśmiechnąć mi się nie chciał i w bezsilnej rozpaczycy wezwałem Boga o pomoc i—Bóg mi też dopomógł. Człowiek, którego dopiero widziałas, przedstawił nam partję dla ciebie, która ze wszechmiar odpowiada rodzicielskim naszym wymaganiom. Jestto rodzina uczciwa i bogata, a młody człowiek posiada zalety, które ci się spodobają: jest młody, przystojny, a stateczny. Spodziewam się przeto, że będziesz żyć z nim szczęśliwie.

Słuchałam, do głębi przejęta, mowy ojca i czułam coś, jakby zgryzoty sumienia, jakby łzy, do oczu wstępujące, że za tyle poświęcenia jednym słowem zadam cios bolesny kochającemu jego sercu. Lecz czy mogłam odpowiedzieć inaczej, byłoż co innego do wyboru? O! z jaką rozkoszą byłabym wołała w owej chwili rzucić się ojcu na szyję, wyznać mu wszystko, co pierś mą przepelniało; oznajmić głośno, co w owej chwili jako tryumf, jako dumne odczuwałam zwycięstwo: że jestem narzeczoną Gustawa! I doznałam dziwnie błęgiego uczucia na myśl, że mężem moim będzie człowiek oświecony, z uniwersyteckiem wykształceniem, nie zaś długochałatowy chłystek, którego pojęcie tak ograniczone, że poza nauką pisaną innej, obszerniejszej nie przeczuwał. I taki miał być dozgonnym towarzyszem moim,

z takim miałabym uczucia dzielić, świat przebyć? co za ironia!

— Czemu nic nie mówisz, Rachelo?

— Ojczy! co mam mówić? Czyż mogę zaślubić człowieka, którego nie znam? Jam za młoda na zamążpójście; pragnę jedynie z wami żyć, bo w waszym domu najlepiej się czuję, najlepiej dziecku przy matce i ojcu.

I przytuliłam się do nich.

— Jesteś osłodą życia naszego, — rozrzwiona wtrąciła matka, — wraz z tobą z domu naszego zniknie promień i światło. Ale pragniemy twego tylko dobra, Rachelo! pragniemy los ci zabezpieczyć, podobnie jak to wszyscy inni czynią rodzice, których najmilszem marzeniem — zobaczyć dziecko swe pod baldachimem, w weselnych szatach, przy akompaniamencie muzyki i wesołych okrzyków. Dziecko moje! mamże ci rysować błogie uczucie, jakiego matka doświadcza, gdy córkę do ślubu prowadzi? gdy ją obok wybranego stawia oblubieńca, który odtąd ma objąć nad nią opiekę i bliższym jej być od ojca i matki?

— Mamo! — przerwałam, — znam wasze przywiązanie, to też błagam was: pozwólcie mi być na teraz tylko dzieckiem waszem, nie skłaniajcie mnie do ślubu i baldachimu. Mnie państwo wabi; zostawcie mi kilka lat jeszcze swobody, a we właściwym cza-

sie. . . zjawi się konkurent inny, który pierwszego o wiele, może, zaletami przewyższy.

— Rachelo!—przemówił ojciec z powagą;—zniewalać cię nie myślę, ale zastanów się, że nie należy lekkomyślnie pogardzać świętą partją, jaka ci się teraz nadarza. Pamiętaj o tem, że nie masz więcej prawa wolnego wyboru, ani grymasów, które jedynie bogatej uchodzą pannie. Bogatej wolno poniekąd czekać i wybierać, wolno grymasić i odrzucać, ponieważ pieniądz jej nigdy powabu nie traci; lecz niemajątna pilnie o tem pamiętać winna, że ani uroda, ani wychowanie, ani rozsądek, jedyne przed tamtą zasługi, przywilejów jej żadnych nie nadadzą; że zatem niewolno jej ludzię się pięknemi mrzonkami, które rzadko kiedy w życiu się spełniają, lecz zadawałniać się winna tem, co mieć może. Rozważ to, Rachelo! idzie tu bowiem o los twój i przyszłość.

Siedziałam cicho, nic nie mówiąc, smutna i ze spuszczonei oczyma. W duszy ważyły się sprzeczne uczucia: miłość dla rodziców, żal, że im mimowolnie musiałam przykrość sprawić, oraz niepokój, bunt jakiś, którego określić nie bylam w stanie. Słowa „posag”, „jesteś ubogą”, „nie masz prawa”, obijały się o uszy moje i ostro raniły, budziły niechęć, niedowierzanie dumne. Dlaczego mi ojciec prawa odmawia? — pytałam siebie zdziwio-

na;—co za związek prawo wolnego wyboru z posagiem mieć może? Więc posag ma być jedynym warunkiem wolności, a wolność udziałem tylko tych, co w posiadaniu złota się znajdują? Zatem złoto, które dotychczas za zwyczajny kruszec uważałam, staje się wzniosłem, wielkiem bóstwem, a to wszystko, com czcic i wielbić, jako rzeczy wzniosłe i wielkie się nauczyła, do niskich marności tego świata spada. Co za dziwny przewrót pojęć, co za fałszywe poglądy! „Wychowanie, rozsądek, uroda żadnych przywilejów dziewicy niemającej w świecie nie nadają”, — powiedział mój ojciec z dziwną powagą. Ona zatem z cichą pokorą, z uniożoną skromnością zachowywać się powinna, o nic głosu serca nie pytać, tylko z brzoza pierwszego lepszego przyjąć mężczyznę, który jej się nadarzy, który rękę po nią łaskawie wyciągnie! Jej nie wolno marzyć, nie wolno się niczego spodziewać dla tego, że się nie urodziła bogatą, nie urodziła możną. Na Boga! któż te prawa ustanowił? Co za nowoczesny Katon je podpisał, jedne samowolnie wywłaszczając, a drugie na mocy ich majątku uprawniając? Nie! one prawomocnymi być nie mogą, ludzkość podobnych poglądów tolerować nie będzie. One gdzieś niegdzie, wśród warstwy ludzi ciemnych, rodzą pewne, może, nadużycia, pewien chwast nie-

godny, lecz na zdrowej, szlachetnie uprawnej roli gruntu dla siebie nie znajdują nigdy.

Zdarzyć się wszak może, że zacofani spótwiercy moi, opanowani myślą zysku jedynie, moralnym zaletom kobiety podrzędniejsze naznaczają miejsce; winić ich jednak o to nie możemy, ponieważ w ciemnocie i przesądach pogrążeni. Lecz człowiek oświaty, mężczyzna z sercem i charakterem, w przyszłej towarzyszcze życia szukać będzie nie posagu, nie blasku mamony, tylko serca także, rozsądku i charakteru. On bogatej, a próżnej do wysokości swego szacunku nie podniesie, a niemającej prawa do szczęścia nie odmówi, lecz, pomny jej zalet duchowych, miłością swoją otoczy.

Odetchnęłam głęboko i obejrzałam się po pokoju. Rodziców moich już w nim nie było, widząc mnie bowiem tak zadumaną, zostawili samą. Siedziałam więc, snując dalej nie myśli, badając wątpliwości, co żywo i gwałtownie wirowały we mnie.

I stanął mi w myśli człowiek, którego obraz w sercu nosiłam, którego kochałam i czciłam, w którego cnotę wierzyłam mocno, niezachwianie. On mnie kochał! kochał nie dla bogactwa, nie dla posagu, tylko dla mnie samej. Mnie on widział, mnie miał na myśli, mnie, nie więcej. Zatem błędne jest mniemanie ojca mojego o tem wszystkim,

co ograniczeniem panny niemajątej zowie. Nie! ona niewolnicą majątkowych stosunków nie jest, bo każdy oświecony mężczyzna zaletom moralnym szczerzy hołd i uznanie złoży, aniżeli szkatule panny bogatej, a próżnej.

I jakby posłuszna zaklęciu, zjawiała się przed okiem ducha postać Ewy ze wszystkimi nieznośnymi cechami charakteru i obojętnością, a zarazem z całym rojem otaczających ją zwykle wielbicieli. Jak widma z ciemnej nocy, w pamięci mojej wyłaniać się poczęły wypadki, epizodniki małe, których główną bohaterką stawała się ta zalotna, o szumnych wyrazach, a pustem sercu dziewczyna. Widziałam wszystkich tych panów, włokących się za nią, niby za rydwanem władczyni niewolników. Słyszałam ich z uśmiechem wypowiedane piękne słówka, które ona z dumnym przyjmowała wyrazem, jako należną jej daninę. Widziałam pana Zand, tego pedanta i szydercę, w wyraźnej roli konkurenta, ubiegającego się przed innymi o pozyskanie względów tej bohdanki, do której wszyscy unisono wzdychali i tęsknili. Kochali ją więc? . . . Za cóż? czem ona umiała ująć ich i oczarować, jaką mocą w niewolników obrócić? . . . Więc potęgą pieniędzy tylko!

Zatem i tutaj, wśród ludzi inteligentnych

i wykształconych, chwast ten niegodny się rozrasta i wśród nich są tacy, którzy pychę tylko, egoizm, interesowność żywią i wyznają.

Czułam, jak burzyły się ideały, jak stopień po stopniu zsuwały się w dół z wyżyn swoich, i przypomniałam sobie słowa Pauliny, powiedziane raz do mnie, gdy się wobec niej unosiłam nad zacnemi poglądami światłej młodzi izraelskiej.

— Ty nie znasz świata, Rachelo, i nie wiesz, że nań patrzeć trzeba nie przez pryzmat złudzeń, lecz okiem trzeźwym, nieuprzedzonym. Świat, jaki w snach ci się przedstawia, jest piękny, idealny, ale nie jest to nasz świat rzeczywisty. Na ludzi nauki patrzysz, jako na proroków bożych, a nie domyślasz się wcale, że częstokroć kłamią, oni w życiu wygłaszanej przez się ewangelji i dopuszczają się niecných bezprawí. Wszystkie te dzieje żywota gęsta przed tobą przykrywa zasłona, której ja uchylić przed czasem nie chcę. Śpij snem spokojnym! życzę, by przebudzenie nie było nagłe i smutne.

Słuchałam wówczas niepewna i trwożna, z uczuciem niemal żalu, że upiory i widma w myśli mojej wywoływała, i coraz bardziej zagadkowem stawało się dla mnie posępne, zgryźliwe jej usposobienie. Lecz teraz słowa Pauliny wydały mi się mniej zagadkowemi. Rozumiałam, że musiała je jej podyktować

głębsza praktyka życia i uczułam wzrastającą w sercu mojem sympatję dla niej na myśl, że praktykę tę ciężkimi okupić ona musiała łzami, własnem nabyć cierpieniem.

Przez kilka dni w domu naszym nie miła panowała cisza, której nikt z nas przerwać nie usiłował, z widocznem znosząc ją udreżeniem. Cierpiałam nad tem, iż stałam się powodem zgryzot rodziców i szukałam sposobu, by mniej dla nich dotkliwie niepewność przerwać i daremne ich złudzenia rozprószyć. Widziałam, iż wahali się z zadaniem mi ostatecznego pytania i dla tego sama łagodnie, ale i stanowczo, oświadczyłam, iż zamaż nie pójdę.

Rodzice ciężko westchnęli, a wzrok ich wyrażał głęboką, niewymowną trwogę. Widziałam, że pokrzyżowałam najulubieńsze ich plany, ze zdwojoną przeto mocą z całą głębią uczucia starałam się dowieść im swego przywiązania, oraz wiary, z jaką w przyszłość patrzyłam.

Nie łatwem jednak było to zadaniem. Ojciec, całodzienną pracą zajęty, mniej żywo zdradzał nurtujące w nim myśli, lecz matka, cała opanowana chęcią ustalenia bytu dziecka swojego, przy każdej sposobności, przy lada nowozawartym gdzieś związku małżeńskim, o jakim przypadkiem zasłyszała, wznosiła oczy kuniebu z tęskną modlitwą: Boże! spraw, aże-

bym i ja, podobnie innym matkom, córkę swą do ślubu poprowadziła.

Tak snuły się dni za dniami i tygodnie za tygodniami w cichej, bezbarwnej jednostajności. Jedyłą rozrywkę znajdowałam w książce, a jedyną moją przyjemnością było obcowanie z Pauliną, która pomimo nieufności swoją, z jaką zwykle od nowych znajomości stroniła, zadzierzgnęła pomiędzy mną, a sobą węzeł przyjaźni. Było coś siostrzanego w uczuciu, jakie żywiłam dla namiętnej tej dziewczyny, z jakim słuchałam skarg jej i żalów, z jakim gwałtowne jej porywy, z którymi się na świat i ludzi rzucała, wstrzymywać i prosić usiłowałam. Czułam w jej sercu rozdwojenie ze sobą i społeczeństwem; gniew zawzięty za wyrażoną mu jakoby niesprawiedliwość, lecz obok tego widziałam skarby uczucia i tkliwości, które mię poszanowaniem przejmowały. Nieraz, na widok cudzego nieszczęścia, lub fizycznej niemocy, nie mogła wzruszenia ukryć, gotowa będąc do największych ze swej strony ofiar i uczynków; natomiast często na samo wspomnienie pewnych stron i zjawisk życiowych, gorycz tryskała ze słów jej, a zwątpienie i sarkazm, jak zatrute żądła, godziły w pierś słuchającego.

Wiedziałam, że jej życie nie było wesołe. Wcześniej bowiem odumarała ją matka, a ko-

bieta, którą jej ojciec ponownie zaślubił, lekkomyślnością do całkowitej rodziny doprowadziła ruiny. To też położenie jej smutne byłoby wielce, a los młodszego rodzeństwa nader godny oplakania, gdyby Paulina pracą nauczycielską nie przyczyniała się do dźwignięcia domu z nędzy i niedostatku. Gdy ją poznałam, liczyła już lat dwadzieścia osiem i w domu była najstarszą; to też pobożne kumoszki miały jej wielce za złe, że za męża nie wychodzi, tembardziej, iż młodsza jej siostra, wbrew prawu starszeństwa, od kilku już lat młodego zaślubiła rzemieślnika.

Raz, było to w piękny dzień wiosenny, poszliśmy za miasto, by świeżem nieco odechnąć powietrzem.

Natura zdawała się z długiego, zimowego budzić uśpienia, wszystko do życia powołując: gaje i drzewa, które liściem i zielenią mała. Czuć było w powietrzu, w tym blasku słońca, w tym niewyraźnym szumie drzew wiosnę, młodość i życie. Zdaleka dolatywał melodyjny szept strumyka, niby smętna nuta, co serce dziwnie miłym przejmowała dreszczem, co budziła tęsknotę, nadzieję i pragnienia nieokreślone. I chciało się ramiona roztworzyć, przypaść piersią do tej ziemi, ścisnąć i na jej łonie płakać, wypłakać się raz do woli.

Paulina odetchnęła głęboko, jakby balsamicznej woni w pierś zaczerpnąć chciała, poczem usiadła pod drzewem i, wodząc wzrokiem po otaczającej nas panoramie, cicho mówić poczęła:

— Jak tu cicho! co za spokój i pogoda. Ten jasny błękit, którego najmniejsza chmurka nie przyćmiewa, łagodny wietrzyk, wierzchołki drzew poruszający — czy przeczuć mogą bóle i walki, jakie pierś ludzką toczą i na części niemal rozrywają? — Jakżebyś tu, śród tej ciszy natury, zapomnieć chciała o wszystkim, o wszystkich nędznych, życiowych utarczkach, o całej nędzy istnienia ludzkiego. Jakżebyś chciała skłonić głowę na murawę, zamknąć oczy i — usnąć. O! ja nie mogę już śpiewać nuty bojowej, struna pękła. Nie mogę stanąć w szeregu wojowników, bo nie wierzę w zwycięstwo. I na co to życie? co nam ono daje i my jemu w zamian?

Ostatnie słowa wymówiła ochryplym głosem, jakby ją one dławily. Skłoniła głowę i bezwładna oparła się o drzewo.

— Paulino! — zawołałam, rękę jej ujmując, — tyś chora, dusza twa zboleła. Patrz, jak tu wszystko świeże i młode, z tchnieniem wiosny się budzi, jak każda trawka, każda roślinka do życia się garnie, do słońca uśmiecha. Wszystko w naturze weseli się

i raduje, hymn jakiś powietrze wstrząsa i śpiewa o nadziei, miłości, o wszystkim pięknem i dobrem. Ja wierzę w szczęście, Paulino! Życie nie jest bezmyślną farsą, nie jest bezbarwną esencją, ale zjawiskiem o szerszym zadaniu i zakresie. Poza samolubnemi naszymi troskami istnieją tysiące rzeczy, które mogą nas zadowoleniem przejąć, tysiące innych, które o celowości życia naszego świadczą.

— Jesteś optymistą,—wyrzekła z przekąsem,—winszuję ci.

— A ty dla czego nią nie jesteś?—zapytałam.—W czym ci życie zawiniło, że z takim wstrętem o niem mówisz, że w celowość jego nie wierzysz?

— Nie mówmy o tem, — wymówiła niechętnie.

— Dla czego?—wołałam;—dla czego masz wątpliwościami umysł sobie zakłócać i stwarzać tym sgosobem źródło goryczy? Doznałaś, może, w życiu niepowodzenia, ale los uśmiechnąć ci się może i rany przeszłości zagoić. Wtedy przyznasz, że nie miałaś prawa powątpiewać o loice, rządzącej ludźni i światem. Nawrócisz się do życia, wiary, do szczęścia.

Nie odpowiedziała. Wzrok jej utkwił w przestrzeni, sięgał horyzontu, jakby w pogoni za czemś niedościgłym, dalekiem.

— Paulino! o czym śniesz? — zapytałam. Drgnęła, błysk przemknął w oczach. — O czym? — powtórzyła. — Może o tej chmurce szarej i smutnej, która sama jedna, po jasnym nieba lazurze się przemyka; może o złocistym tym szlaku, którym słońce, zdala od niej, pochód swój znaczy. Co ty mi o szczęściu prawisz, kiedy życie takie puste, czcze, jałowe; kiedy niema w niem treści, niema celu. O, Rachelo! wskaż mi cel, wskaż, do czego się przywiązać, co w życiu ukochać można, „O! daj mi człowieka”, wołał Hamlet, „tu, w sercu mojem go umieścić, w sercu mojego serca”. Niema; niema celu, ani ludzi.

Podniosła się, kierując ku miastu, a ja na zwrócone do niej zapytanie nie mogłam z niej odpowiedzi dobyć.

Znowu ki'ka przeszło miesięcy. Pewnego dnia, o szarej już godzinie, siedziałam w swoim pokoju, gdy usłyszałam Andzię, która z ogródka na mnie wołała, abym do niej copędzej zeszła, ponieważ ważną chciała podzielić się ze mną wiadomością. Zarzuciłam na siebie lekką okrywkę, gdyż dnia tego nieco chłodny powiewał wiatr i pośpieszyłam na zawołanie.

Pomiędzy Andzią, a mną poufałe, jak dawniej, trwały stosunki. O wiele tylko rzadziej spotykałyśmy się w ogródku, ponie-

waż najchętniej lubiłam przesiadywać w moim pokoju, gdzie nic mi nie przeszkadzało miłemu oddawać się dumaniu. Kiedy niekiedy tylko odwiedzałam rodziców Gustawa, wchodziłam do salonu, w którym zawsze kogoś ze złotej, miejscowej zastać można było młodzieży, lecz w którym nic mnie nie bawiło i nie nęciło. Nieobecność tego, którym myśl moja wiecznie zajęta była, wyraźniej tu, na każdym kroku, w każdym kącie stawała mi w pamięci. Nigdzie też tak żywej nie doświadczałam tęsknoty, ani tak mocnej chęci usłyszenia głosu ukochanego człowieka, usłyszenia słów jego tkliwych, których echo rozlegało mi się ciągle w uszach.

Czy to pod wpływem rozlegającego się tam najczęściej śmiechu i żartu, uczucie samotności ogarniało duszę, a na widok grzeszności, z jaką się panowie do dam zwracali celem pozyskania sobie ich względów, czułam, że dla mnie zabiegi ich obojętni by zupełnie były, że sympatycznego w sercu mojem nie obudzałyby dźwięku. Jeden tylko na całym, bożym świecie istniał człowiek, od którego wesołość moja i szczęście zawisły. I starannie, jak skąpiec skarb swój, głęboko w sercu tałam miłość swoją, bojąc się najłżejszem choćby zdradzić ją słówkiem. Niekiedy Andzia, w pewnych odstępach czasu, tonem naturalnym powtarzała mi słowa

pozdrowienia, jakie w listach swoich Gustaw dla mnie załączał. Natenczas krew żywiej krążyć w żyłach poczyniała i musiałam mocno rękami pierś przyciskać, która gwałtownie falowała.

— Wyobraź sobie, — zawołała Andzia, skoro do ogrodu weszłam; — adwokat Zand oświadczył się Ewie i — został przyjętym.

Była to ważna owa wiadomość, którą pragnęła mi udzielić.

Wiadomość ta nie zdziwiła mnie bynajmniej. Od pewnego bowiem czasu pan Zand ukazywał się jawnie w roli pretendenta, wszędzie Ewie towarzysząc i zachowując się w sposób, który dozwalał się domyślać bliższych pomiędzy nim, a bogatą panną stosunków. Ona, pomimo, że go z pewnością traktowała arogancją, jawnie jednak wyróżniała go z pośród innych, uśmiechała się doń zalotnie w dumnym przekonaniu, że na tym człowieku, sztydzącym ze wszystkich i wszystkie, ona potrafiła silniejsze wyrzucić wrażenie. Rozumiałam dobrze, że głównym sprzymierzeńcem pana Zand była próżność i pycha ze strony Ewy, najwybitniejsze cechy jej charakteru.

— A co się stało z górnolotnemi jej projektami, z mocnem tem postanowieniem wstąpienia na uniwersytet i walczenia za prawa kobiety? — zapytałam z uśmiechem.

— O! adwokat Zand jest przecie wielce tolerancyjny. Powiedział jej, że swobody przyszłej swojej małżonki nigdyby krępować nie usiłował, gdyż zbyt szczerze losowi kobiet współczuwa; że zaraz po ślubie wyjechałby z nią na dłuższy czas zagranicę, gdzie wolnoby jej było liczbę wolnych słuchaczek na tamtejszych uniwersytetach swoją osobą powiększyć. Mówił o wielu jeszcze innych, pięknych rzeczach, a gdy nazajutrz, po ukazaniu tych uroczych obrazów, zjawił się u niej i uroczyście o rękę poprosił, ona słodkim i obiecującym odpowiedziała mu uśmiechem. Poczem ręka w rękę weszli do pokoju rodziców, którzy ze szczerą radością pana Zand, jako przyszłego zięcia, uściskali. Ślub odbędzie się niezadługo, poczem w poślubną puszcza się podróż. Ewa, gorliwie po całych dniach zajęta teraz przygotowaniami do wyprawy, jaką zagranicą uzupełnić jeszcze zamyśla, zapowiedziała jednak, że nas dziś wraz z narzeczonym odwiedzi, a ponieważ liczniejsze u nas zbierze się towarzystwo, proszę cię uprzejmie, Rachelo, abys w zabawie udział też przyjąć chciała.

Nie miałam najmniejszej do tego chęci i szukałam wymówki, którąbym swą odmowę npozorować mogła; lecz ona, myśl moją odgadłszy, oświadczyła, że mię na miejscu aresztuje i przez cały wieczór pilnie strzedz

będzie, ażebym jej nie uciekła. A łącząc czyn ze słowem, pociągnęła mię prawie przymocą za sobą do mieszkania.

W salonie, rześście oświetlonym, kilka już zastałyśmy osób, które pozdrowiły mię uprzejmym ukłonem. Niebawem liczba gości poczęła wzrastać, a wkrótce salon się zappełnił i ożywił. Byli to zwykli znajomi państwa Glas, których często spotykałam, jeden tylko był pomiędzy nimi obcy. Młody przyjezdny, którego mi przedstawiono, nazywał się Rot i miał być dawnym, zażyłym kolegą adwokata Zand.

Towarzystwo podzieliło się na kilka grup, z których każda, za osobnym siedząc stołem, żywo rozprawiała, udzielając sobie uwag i zdań, wiadomości i nowin. Usiadłam obok pana Jofe, człowieka, którego więcej, jak innych považalam, gdy drzwi się rozwarły i weszła niemi Ewa krokiem rzymskiego tryumfatora, a za nią niemniej dumny adwokat Zand, z wiecznie pogardliwym na ustach uśmiechem. Ukłonili się wszystkim obecnym, poczem uściskaniem ręki dziękowali każdemu z osobna za życzenia, jakie z powodu zrękwów uprzejmie im składali. Ja za wejściem ich nie podniosłam się z siedzenia, cichy głos mi mówił, że wśród tylu głośnych powinszowań słowa moje przebrzmiałyby bez echa i znaczenia, a oni przeszli koło mnie,

nie przystanawszy, kiwnawszy zaledwie głową. Dotknięta duma przemówiła we mnie na to widoczne lekceważenie i odwróciłam oczy, nie chcąc spojrzeć nawet w ich stronę. Rozmowa, na chwilę przerwana, ożywiła się bardziej wraz z nadejściem pary narzeczonych. Mówiono o zawęcie prawnym, doktorskim, o szansach materialnych i o wszelkich fachach innych, co takowe zapewnić mogą. Andzia zajęła miejsce obok mnie, a wkrótce otoczyło nas grono panów, wesołych inicjatorów zabaw, którzy poczuli układać plany dla urozmaicenia wieczoru. Proponowano gry różne, aż zgodzono się na jedną. Młodzież utworzyła półkole, krzyżowały się dowcipy i rozlegały śmiechy. Zrazu czynny w zabawie przyjmowałam udział, lecz w końcu, czując ból głowy i z chwilowej w grze korzystając przerwy, wstałam i do otwartego doszłam okna, by rozpalone czoło nieco chłodnym orzeźwić powiewem. Była tam głęboka framuga, którą ciężka i długa osłaniała draperja, w framudze stała otomanka, na której też niebawem spoczęłam.

Patrzałam w noc cichą, na te gdzieniegdzie migocące po firmamencie gwiazdy, w ulicę ciemną i okna przeciwległych domostw, w których życie zdawało się być zamarte. Siedząc tak nieruchomie, bez wyraźnej myśli i zajęcia, czułam ogarniającą

ociężałość i mimowolnie głowa opadła mi na piersi. Zdawała niewyraźnie do uszu moich dołatywała wrzawa głosów ludzkich, jakby szum wezbranych fal morskich, a w sercu osiadł spokój i błogość niewypowiedziana. Ujrzałam znowu piękny obraz marzeń moich, ten domek maleńki, co mi go fantazja tak uroczo malowała. Widziałam Gustawa i siebie, złączonych węzłem dozgonnym, używających pełni życia w zgodzie i miłości. We mnie rozkoszne brzmiały głosy, pieśni szczęścia i radości, a chór aniołów w powietrzu.

Nagle drgnęłam. Pierzebły senne widziały i, zbudzona, wyraźnie tuż blisko siebie usłyszałam męskie dwa głosy.

Po jednym z nich poznałam pana Zand, drugi zaś należał do młodego przyjezdnego, który podczas gry tak uporeczywie mi się przyglądał. Stali w pewnem od reszty towarzystwa oddaleniu, oparci o marmurową kolumnę, w rogu pokoju i tuż przy oknie się znajdującą. Bezwiednie prawie wsunęłam się jeszcze bardziej w głąb framugi i z natężoną słuchałam uwagą.

— Masz słuszność, Adolffie! — rozległ się głos pana Zand. — Od owej epoki nie wiele upłynęło lat, lecz tem niemniej pozostawiły one na nas niezatarte ślady. Dziś nie pojmujemy już owych porywów młodzieńczych, co dawniej tak gwałtownie pierś naszą szar-

pały i czaszki rozsadały niemal. Innem na świat poglądając okiem, inne też uczuwamy pragnienia i porywy. Ze społeczeństwem dla jakichś chimer i ideałów walczyć nie myślimy więcej, lecz, poznawszy twarde warunki bytu, każdy z nas usiłuje sobie samemu jak najlepszy byt i wygodę zapewnić. Sny owe dawne, marzenia i plany — technienie życia je rozwiało, jak ostry wiatr chmury na niebie rozpędza.

— Lecz sny owe--były to raczej obłoki czyste i jasne, jakie w piękny dzień majowy po lazurze niebios się przesuwały. Wraz z ich zniknięciem widnokrąg się zaciemnia i szarą mgłą osłania. Czy wiesz ty, Leonie! gdy widzę młodzież szumną, pełną entuzjazmu, uganiającą się za wniosem ideałami, gdy słyszę jej, pełne wiary i natchnienia, głośnie hasła o swobodzie, postępie i ludzkości,—czuję w sercu zazdrość, jakby żal po minionej młodości, tęsknotę za utraconym światem piękna i poezji.

— Ha! pozostałaś idealistką zatem. Ja nie podobnego nie doświadczałam. Śmiech mój tylko porywa na widok tych zapalonych półgłówków, co ziemię porzucić i w górne strefy ideałów wzlecić usiłują; co nie pamiętają o tem, że, skoro się nieco nad poziom podniosą, skrzydła Ikara im opadną i sami o grunt twardy się uderzą. O, wtedy polotu

nie spróbują więcej, bądź pewny. Porzucą dawne zapasy i karkołomne wyścigi i do cichej przystani się schronią.

— Gdzie się żonę i bogaty zdobywa posag, czy to miałaś na myśli, Leonie? Przyznaję, że się szczerze zdziwiłem, gdy się o twoich zaręczynach dowiedziałem. Pamiętam, żeś dawniej nie był za małżeństwem.

— Mój kochany! czasy złe, klientela licha, a długi wciąż rosną i rosną. Procent lichwiarski szczupłe moje fundusze pochłania i prawie do ubóstwa doprowadza. Rozumiesz więc, że, w takich będąc warunkach, jedyne wyjście z kłopotliwego położenia w bogatym widziałem ożenieniu.

— Więc na postanowienie twe głównie interes wpłynął, względy materyalne? a czy narzeczona twoja nie zdołała żywszem cię natchnąć uczuciem, Leonie?

— Do miłości idealnej jestem już za stary, ogień dawno przegorzał; lecz mam nadzieję, że będziemy żyć zgodnie, jedno drugiemu nie zawadzając.

— Ha! brzmi to nieco za rozsądnie w ustach szczęśliwego oblubieńca, a przecie narzeczona twoja młoda i przystojna. . . A propos! Powiedz, proszę. Czy znasz tę pannę o przeciągłym, myślącym wejrzaniu, delikatnej cerze i zgrabnej kibici, którą przedstawiono mi, jako przyjaciółkę panny do-

mu? Przyznam ci się, że z przyjemnością na tę uroczą istotę poglądałem, czy znasz ją?

Pan Zand wzruszył ramionami.

— Znam ją. Jestto niejakaś panna Rachel K..., osoba nieźle nawet wychowana, z którą jednak nie radzę ci bliższej zabierać znajomości.

— A to dla czego?

— Bo jestto panna nieposażna, córka ubogich niemal rodziców. Znajomość z nią stać by się mogła niebezpieczną dla ciebie, ponieważ młody człowiek może łatwo wpaść w siłła panny ładnej i dowcipnej. Trzymaj się przeto zdala, bo z ogniem, mój kochany, igrać nie należy.

Nie słyszałam więcej. Krew zawrzała mi w żyłach i doznałam wrażenia, jakby mi kto policzek w twarz wymierzył. Podły!—szepnęłam i podniosłam się ze ścięniętą pięścią i nienawiścią w sercu. — Ubogą nazwałeś mnie dziewczyną, lecz bogatszą jestem od ciebie, bo posiadam skarb uczucia i miłości, którego tobie brak. Bogatszą jestem od kruszcowej panny, która całym swoim majątkiem takiego, jak ty, człowieka okupić sobie musiała.

Drżąca ze wzruszenia wysunęłam się ze swej kryjówki i oko w oko z Pauliną się spotkałam.

— Ach! szukam cię wszędzie — zawołała;

— lecz co się z tobą dzieje? takaś blada i wzruszona!

Nie odebrawszy odpowiedzi, ujęła mię pod rękę i poprowadziła w głąb salonu. Podniosłam oczy i zobaczyłam pana Zand, stojącego za krzesłem Ewy; nieopodal siedział przyjaciel jego, pan Rot. Za stołem głośna toczyła się rozmowa, przerywana pytaniami i wykrzyknikami. Oczy Ewy gniewnie się iskrzyły, a twarz gorzała. Niebawem doleciały do nas jej słowa.

— Znamy wszyscy pana C. Jestto człowiek bogaty, ale stary i schorzały. Zaślubić go, znaczy tyle, co młodość swą sprzedać za garść złota, jestto handel, frymarka niegodna. I dla tego raz jeszcze powtarzam, że chciwość tylko i żądza zbytków skłonić mogły pannę W. do przyjęcia ręki niedołężnego starca.

— Nie, pani, — odparł pan Jofe, — nie żądza zbytków, bo jestto dziewczę skromne i dobre. Bywam w domu jej ojca i przekonałem się, że jest wzorową córką i siostrą. Pan W. ma bowiem trzy dorosłe córki, z których ta najstarsza.

— Jakże się pan na podobne małżeństwo zapatruje? — zagadnął jeden z biesiadników?

— Zapatruję się na nie, jako na objaw spaczonych stosunków społecznych, lecz bynajmniej, proszę pana, nie potępiam młodej

dziewczyny, którą przykre do podobnego związku nieraz zniewalać mogą okoliczności. W życiu, proszę pana, jak i w naturze, wszystko w formie zależnej, warunkowej się odbywa, każde zjawisko wywołane bywa przez właściwą jakąś przyczynę. Gdy nie znamy przyczyny, skutkowi dziwić się mamy tylko prawo, nie potępiać, choć on się najoczywiściej przekonaniu naszemu i poczuciu loiki sprzeciwia.

— Do czego pan teorią swoją stosuje?
— zapytała zniecierpliwiona Ewa.

— Widzi pani, u żydów staropanieństwo bywa uważane za klęskę, niemal za zbrodnię. Skoro panna dochodzi do lat siedemnastu, pewne zacne kumoszki, po mniejszych głównie miastach, poczynają notować sobie w pamięci ilość jej lat, która, co miesiąc, dziwnie u nich wrasta. Jestto pewna, że tak rzekę, grasująca wśród nich cyfromanja. W miarę podnoszenia się rubryki lat, panna bywa prawie palcami wytykaną i Nielitościwie wyszydzana. W obec podobnych warunków nie ma w tem nic dziwnego, że dziewczę, uciekając przed myślą staropanieństwa, oddaje często rękę swą i młodość niedołęznemu starcowi.

— Dla tego, że żyć pragnie w dostatku, — wtrącił adwokat Zand, — bo inaczej wolałyby zaślubić przecież ubogiego młodzieńca,

gdyby jej perspektywa przyszłego ubóstwa obawą nie przejmowała.

— A gdyby tak było? — żywo wtrąciła Paulina, która w ciągu rozmowy przysunęła się do stołu i mnie też pociągnęła za sobą. Stała z okiem roziskrzonym, z wyrazem uporu i nienawiści, jakby cały świat do walki wyzwąć chciała.

— A gdyby tak było w rzeczy samej, — powtórzyła Paulina, — co by pan temu dziewczęciu mógł mieć do zarzucenia?

— Frymarke, — ze złością przerwała Ewa, — niecne frymarczenie sobą. . .

Oczy Pauliny gniewnie się roziskrzyły.

— Czy tak? — odpowiedziała, — ja to inaczej rozumiem. Jeżeli bowiem mężczyźni młodemu i silnemu wolno się sprzedawać kobiecie dla jej posagu, to dziewczynie ubogiej wolno tem bardziej za bogatego wyjść starca, choćby i garbatego. A racja zawsze będzie po jej stronie, bo czyni to ona, może, przyparta twardemi życia warunkami, — on, aby życie w bogatych spędzić salonach. Przecie i bez salonów żyć można, a bez dachu chyba nie.

W głosie drgała namiętność, a wzrok jej spoczął na panu Zand śmiały i wymowny. Widziałam, że wargi zlekka mu zbladły i złość w oczach zamigotała. Po chwili jednak zapanował nad sobą, pogardliwie się

uśmiechnął i nie odpowiedział. Wkrótce rozmowa na inne zwróciła się tory, a ja, ze współzuciem spojrzawszy na Paulinę, niebawem wraz z nią opuściłam salon.

— Jakże ich nienawidzę, — szepnęła.

— Ten łowiec posagowy, co pieniędzmi żyje i oddycha tylko, śmie potępiać biedną dziewczynę, że, zniewolona niedostatkiem, sercu swojemu musiała milczenie nakazać. A ta panna bogata, żyjąca w dostatkach i rozkoszy, śmie o moralności mówić, o cności? Ona nie doświadczyła tego, co to nędza, nie lęka się smutnej doli i samotnej przyszłości, bo ma bogatych rodziców, bo ma kiesę złota, którem sobie przyjaciół zdobędzie.

Odetchnęła głęboko. Czuć było coraz żywiej ogarniające ją wzruszenie, gdy tonem namiętym ciągnęła dalej. A ja stałam przed nią oszołomiona, drżąca, bezsilna. Im dłużej mówiła, tem większy ogarniał mię lęk, tem straszniejszy czułam zawrót głowy i ściśnienie w piersi. Zdawało mi się, że widzę tuż, u stóp moich bezdno ziejące, że słyszę wydobywający się z onego jęku ofiar, syk gadów i węzów o ludzkich głowach i spojrzeniu.

A ona mówiła dalej.

— Gromią i perorują na temat demoralizacji młodych dziewcząt, dla marnego kruszcu sprzedających swą młodość i urodę zgrzybiałym starcom. Marny kruszec! Obyś

cie oniemieli, bezwstydni hypokryci! co dla tego jedynie kruszcu zaślubiacie brzydką, garbatą, szatana postacią i duszą.

— Paulino!—zawołałam z wysiłkiem rozpacz, — przestań, nie oczerniaj wszystkich. Czyż niema śród nich ludzi, godnych szacunku, z sercem tklivem, szlachetnem, z uczuciem stałem, bezinteresownem? Tyś nabrała farb czarnych i wszystko na czarno malujesz, lecz spojrzuj bacznie dokoła, ujrzysz niemało także postaci jasnych, pogodnych, uczciwych. Rzuć swój pędzel, Paulino! obrazy twe fałszywe, grobowe, a świat, jaki na nich rysujesz, do wielkiego ementaryzyska porównańby można. Ty nie znasz harmonji barw i światła...

Spojrzała na mnie z dziwnym wyrazem. Usta jej zadrgały, jakby jękiem tłumionym, jakby skargą niewymówioną.

— Dobranoc!—wymówiła cicho, ściskając mi rękę, a głos brzmiał smutkiem i łzami.

Wróciłam do siebie z sercem ciężkiem i smutnem. Wrażenia wieczoru długo usnąć mi nie dały, a wypadki przesuwały się kolejno przed okiem ducha, budząc za każdym razem nowe upokorzenie i nowy gniew zacięty. Wależyłam ze sobą uporczywie: całą moc umysłu wyteżalałam, chcąc trudną rozstrzygnąć zagadkę i rozjaśnić mrok, jaki coraz gęściej mię ogarniał. Słowa pana Zand,

późniejsza z Pauliną rozmowa, wywołały chaos w świecie moralnym, w którym żyłam, a w który wierzyłam świecie i głęboko. Ludzie, których czcić i szanować nawykłam, na których, jako na wyższe, poglądałam istoty, — ci ludzie padali ze swej wysokości i w prochu się tarzali. To nie byli apostołowie wielcy, lecz uawskroś materjalizmem przesiąknięci aferzyści, którzy słowo Boże dla złotego cielca odrzucali i poniewierali... Więc piękne owe zasady, przez nich wygłaszane — to szumne wyrazy bez treści i znaczenia, a hasła ich o równości i braterstwie — to prawdy takie, którym się w życiu późniejszym głośny kłam zadaje! Wszakże adwokat Zand to stwierdził. I on pewno prawil niegdyś o godności ludzkiej i dobru społeczeństwa, i on zapalał się też do misyj wzniosłych, a teraz się korzy przed bryłą złota, wyższych ideałów w życiu nie uznając, innej wiary w sercu nie żywiąc. Dlaczego? Jak mogli dawnym zasadom się sprzeniewierzyć, w odszczepieńców dobrej sprawy się obrócić, jak?

I niespokojna miotalam się na łóżku, daremnie usiłując wątpliwości, co się mnożyły, rozproszyć.

... A Gustaw, czy i on też wyrzeknie się kiedyś tego, co wygłaszał, czcił i wielbił?... Nie, to niepodobna. W jego sercu

zdrój wiary nie wygaśnie, nie wyczerpie się uczucie, co go pięknemi dawniej natchnęło słowy. Idealów swoich on nie porzuci i balwanowi ofiar składać nie będzie.

Wyciągnęłam ramiona, chcąc go do serca przytulić, chcąc go utrzymać przy sobie mocno, na zawsze.

Usnęłam nad ranem, lecz wkrótce obudziłam się z gwałtownym bólem głowy. Ubrałam się na prędko, by zejść do ogródka i świeżem nieco odetchnąć powietrzem,—gdy weszła matka moja, a za nią z wesołym wsunęła się uśmiechem Basia, przyjaciółka moich lat dziecinnych.

Mieszkała od kilku lat na wsi. Teraz przyjechała do miasta dla zakupu niezbędnych w gospodarstwie przedmiotów, oraz dla zabrania mnie do siebie na kilka miesięcy letnich. Była wesoła, mówiła z okiem pogodnym, tonem szczerym. Pod wpływem słów jej czułam, jak umysł mi się wypogadzał i wracał do równowagi. Uścisnęłam ją przeto serdecznie i prosiłam, by podróżne zdjęła ubranie i swobodnie rozgościła się u nas.

— Nie, — odparła, — muszę załatwić sprawunki i dziś jeszcze wyjechać. Przeto, Rachelo, bądź gotową. Nie uwierzysz, co za rozkosz, w skwary letnie polnem napawać się powietrzem. Ty, co zawsze naturę i piękne lubiłaś widoki, doznasz miłego uczucia,

gdy się po zielonych, lub złocistych rezej-rzysz łąkach. Nie zbraknie ci także towarzy-stwa, znajdziesz bowiem kilka osób, które przez sezon letni mają mały domek w lesie zamieszkać. Nie pożałujesz wyjazdu, Ra-chelo!

Zawahałam się. Prosiła tak uprzejmie, iż byłabym od razu chętnie zaproszenie jej przyjęła, lecz przypomniałam sobie, że za kilka tygodni rozpoczną się wakacje, na które Gustaw miał do domu przyjechać i – od-mówiłam. Lecz Basia nie dała za wygraną. Użyła całej wymowy swojej, obfitego zapa-su zakłęk i prośb, aż wreszcie na wyjazd przystałam. W myśli jednak święcie posta-nowiłam pobyt na wsi, ile możliwości, skrócić, by móżdż we właściwym czasie ukochanego w mieście przywitać.

Zaczęłam więc do podróży szybko się szykować. Przygotowania nie dużo mi czasu zajęły, spieszyłam się jednak, konie bowiem czekały przed domem, a ja chciałam poże-gnać Paulinę i Andzię też przed wyjazdem uściskać.

Paulina mieszkała w dwóch izdebkach w jednej z odleglejszych uliczek miasta. W mieszkaniu był porządek i czystość naj-wyszukańsza. Wiedziałam, iż było to Pauli-ny dziełem, jej bowiem pracy rodzina przy-zwoitszy swój zawdzięczała wygląd. Gdy

strudzona bakalarka, wracała do domu, brała się do igły, czyściła i szorowała sprzęty, by wytarte i powalane do przyzwoitego przywrócić stanu. Była opatrnością domu: ro-dzeństwo w każdej potrzebie do niej się zwracało, ojciec poglądał na nią, jako na swoją chlebobdawczynię. Ona rzadko się uża-lała na ciężar spoczywających na niej obo-wiązków i starała się z całych sił zadaniu swemu sprostać. Czuć było jednak, że tęsk-niła za czem innym, że innego pragnęła ży-cia, osobistego zaznać chciała szczęścia. Często po kilka dni rzędem w smutnej spę-dzała zadumie, unikając natenczas ludzi, szukając ciszy i samotności.

Razu pewnego, gdy ją w podobnem właś-nie zastałam usposobieniu, ona, za mojem wejściem, odwróciła się i najmniejszym nie przywitała mnie słowem. Zdziwiona jej za-chowaniem, usiadłam onieśmielona, lecz, spoj-rzawszy na jej twarz bladą i zmienioną, do-szłam i o powód smutku zapytałam. Spoj-rzała dziko i zrazu nie nie odpowiedziała. Siedziała z głową spuszczoną i dłońmi skrzy-żowanymi, jakby nie widziała i nie słyszała nikogo. W smutnem zatopiona dumaniu, zda-wała się ścigać myśl jakąś błędną, lub chcieć rozwikłać pytanie dręczące, a uporczywe.

— Chodź, Paulino! — rzekłam, — przejdzie-my się. Tu, u ciebie, duszno i parno, chodź!

Wstrzęsła się i cofnęła gwałtownie.

— Nie,—wymówiła,—nie pójdę. Nie chcę ludzi, bo widok ich wesołych twarzy zawiścią mię przejmuję. Dlaczego oni szczęśliwi, a ja nieszczęsna? oni bogaci, a ja uboga? Dlaczego oni wesoło zasiadają do biesiady życia, a ja, jak biedny Łazarz, patrzę zdaleka i nie mam nawet okruszyn, spadających ze stołu bogatych? A przecie—mówiła dalej ze wzrastającym żarem,—i jam głodna, pragnę użyć, pókim młoda, pragnę raz jedyny przychylić usta do czarodziejskiego tego kielicha, by móżdż zawołać: Żyłam i kochałam!

Dwie łzy potoczyły się po zbladłem jej licu.

Siedziałam zakłopotana, nie wiedząc, co przemówić, jak ból jej ukoić. Nie pojmowałam dziwnego tego usposobienia, tem bardziej, że nazajutrz przyszła do mnie z twarzą pogodną, na której śladu wczorajszej burzy zauważyć niepodobna było. Mówiła o rzeczach zwyczajnych tonem swobodnym i wesołym. Żartowała, dowcipkowała, śpiewała, jakby chciała śpiewem tym zagłuszyć głosy, co w niej samej wczoraj jeszcze zacięty bój toczyły.

Zastałam ją tym razem w domu. Była bledszą i bardziej jeszcze wycieńzoną; przywitała mię jednak uprzejmie, a gdy jej o wyjeździe swoim powiedziałam, kiwnęła

potakująco głową i odparła, iż chętnieby mi towarzyszyć chciała.

— A więc jedź ze mną, — prosiłam. — Basia rada ci będzie z pewnością. Wszak bardziej, aniżeli ja, potrzebujesz odpoczynku i powietrza, bo pracą siły swe aż nadto przez cały rok wycieńczasz. Musisz się oszczędzać, Paulino, gdyż prawdziwie źle wyglądasz.

— Nie, Rachelo! — odpowiedziała, — jedź sama, mnie o wyjeździe marzyć nie wolno. Lekcje moje—to cały nasz byt, jedyne utrzymanie, nie mogę ich przeto porzucić. Kapitału nie posiadamy, żyjemy z dnia na dzień, z miesiąca na miesiąc ciągniemy taczkę... Jedź zatem sama, Rachelo! napawaj się wonią pól i kwiatów, a gdy ujrysz wołu, wprzagniętego w jarzmo, nisko karku uginającego, przypomnij sobie o mnie i westchnij nad moją dolą. Żegnam cię...—I uściskała mię serdecznie.

Rozstałam się z nią smutna, lecz Basia czekała już przed domem; wbiegłam przeto prędko do Andzi, uścisnęłam ją, następnie pożegnałam rodziców i wraz z Basią wsiadłam na bryczkę. Woźnica klasnął batem, konie żywo ruszyły z miejsca i podniósł się tuman kurzu, poza którym zniknęły wkrótce w oddali zarysy rodzinnego miasta.

Droga była nie daleką, wioska bowiem

położona była o kilkanaście zaledwie wiorst od miasta. To też nie spostrzegłam się prawie, gdy stanęłam w miejscu. Dokoła rozciągał się cudny widok, cały ujęty w ramę drzew i żywopłotów. Zdaleka widniały łąki i pola, na których bujne kołysało się żyto. Migotały tu i ówdzie pasące się krowy i dołatywało echo piosnki wesołej wiochny.

Uczułam się na raz pokrzepioną, pełną otuchy i swobody.

Dawid, mąż Basi, przywitał mię po przyjacielsku. Wprowadzili mię do mieszkania, gdzie widniały dostatek i ochędóstwo, gdzie w każdym kącie czuć było spokój, zgodę i zadowolenie.

— Teraz, Rachelo, rozgość się u mnie, — powiedziała Basia; — bądź ze mną, jak za dawnych, dobrych czasów. Wprawdzie wiele się u nas odmieniło, ale przyjaźń moja dla ciebie pozostała też sama.

Usadowiła mię przy stole i przysunęła nakrycie.

Wtem wbiegło dziecię dwuletnie o rumianej twarzyczce i niebieskich oczkach. Zaszczębiotało wesoło i poskoczyło ku ojcu. Ten podniósł je z nad ziemi, przemówił pieśzczośliwie, a ono rączkami objęło mu szyję.

— To moja córka, Rachelo! — rzekła Basia, — pieśzczołka ojca.

Podczas obiadu ciekawie przyglądałam się

Dawidowi. Nie zmienił się. Był to ten sam człowiek cichy, o spokojnem, uczciwem wejrzaniu i łagodnym wyrazie twarzy. Większej tylko nieco nabrał pewności siebie i swobody w obejściu, Znać było, że mu widok żony i dziecka otuchy dodawał i bodźca, co go podnosił moralnie i duchowo. Te skromne ściany stanowiły mały jego światek i wstępował w nie z pogodą i nadzieją. Miał zadanie w życiu, był mężem, ojcem, pracował więc z zapałem, pragnąc byt dostatni żonie i dziecku zapewnić.

A że ciężko musiał pracować, o tem łatwo w dni następne przekonać się mogłam. Wstawał o rannym świcie i biegł na pole, do obory, lub stodoły, gdzie wszędzie dozorował, radził, prostował, albo też sam dzielnie pomagał przy żęciu zboża, lub sianokosie.

W południe wracał do domu, bo była to pora obiadowa i czas ogólnego w polu odpoczynku. Wracał znużony i spocony, na troskliwe jednak zapytania żony odpowiadał, że się dobrze czuje. Posiliwszy się nieco i odetchnąwszy, spieszył znowu do pracy, nie bacząc na skwar lub ulewę. Gdy wychodził, Basia głośno wydawała wetschnienie, a poglądając ku niebu, prosiła o zdrowie i siły dla swego męża. Często też, aczkolwiek nieśmiała i wstrzemięźliwa w objawach swej

miłości dla męża, widząc perliste krople potu, ściekające mu po twarzy, siadała koło niego i z macierzyńską prawie czułością ocierała mu czoło, skroń, twarz, szyję, a on, jak dziecko, skłaniał ku niej głowę rozpaloną i pozwalając wszystko czynić ze sobą, odpowiadał jedynie wzrokiem, pełnym wdzięczności i przywiązania.

Takie mniej więcej było życie codzienne mieszkańców tego cichego zakątka: pracowite, a jednostajne, które przy końcu tygodnia, z nadejściem soboty, inną jednak przybierało cechę. Naówczas odkładano robotę, otrząsano pył dni powszednich i witano dzień ten uroczyście i poważnie. W piątek na wieczór Basia nakrywała stoły białymi obrusami, oblekała siebie i dziecię w odświętne ubranie, zapalała świece i głośno odmawiała nad nimi modlitwę. Dawid zaś w lepsze również odziany szaty, szedł na modlitwę wieczorną, która bywała odprawiana wśród szczupłej gromady spółwierców, w sąsiedniej wsi osiadłych. Był tam mianowicie pachciarz z dwoma synami, pisarz leśny, oraz kilku innych żydów, którzy na tym odległym partykularzu gminę żydowską przedstawiali. Byli to ludzie ubodzy, znękanii, których całe mienie stanowiła krowa, lub pola kawałek, który miał na wyżywienie całej rodziny starczyć. Byli to ludzie, którzy po sześciu-

dniowej, ciężkiej pracy, po całym tygodniu nędzy i wysilenia, w piątek na wieczór wyprostowywali zdrewniałe swoje członki i szli w modlitwie i chwale Boga swego, Jehowy, szukać ulgi i zapomnienia codziennych trosk i walki. Kilkunastu mężczyzn schodziło się razem i, łącząc do wspólnej modlitwy, nawiązywało pomiędzy sobą węzeł jedności i braterstwa. To też łączył ich stosunek ścisły: stanowili wszyscy jakby jedną rodzinę, która o każdym pojedynczym swoim członku myśleć i pamiętać była winna. Dawid, jako najlepiej wśród nich materialnie postawiony, hojnemi często wspierał zasiłki, gdzie tego widział potrzebę: czuwał nad dobrem i sprawą gminy, troszczył się o byt jej i zdrowie. W razie choroby, lub innego nieszczęścia, do niego szli po radę i pomoc, jakiej on potrzebującemu nie odmawiał nigdy.

Gdy z modlitwy wieczornej wracał do domu, zwykle przyprowadzał ze sobą na sobotnią biesiadę jednego ze współwierców swoich, który, sam ubogi, we własnym domu godnie uczcić dnia Bożego nie byłby w możności. Basia przyjmowała gością uprzejmie, troskliwie bacząc, by biedny ów człowiek nasycił się i pokrzepił należycie. Zasiadał u boku gospodarza, by mniej czuł poniżenie swe i nędzę, a gospodarz rozmawiał z nim,

jak z równym sobie, przytaczając niekiedy cytaty z Talmudu.

W sobotę po obiedzie, gdy Basia, wstawszy ze stołu, zdejmowała zeń nakrycia, lub porządkowała w pokoju, Dawid, siedząc jeszcze wraz z gościem, kończył dziękczynną modlitwę, poczem rozpoczął śpiew psalmów Dawida. A śpiew ten, aczkolwiek zdawna mi znany, równem zawsze rozrzewnieniem mię przejmował.

W śpiewie tym, odkąd myśleć się nauczyłam, słyszałam tony tkliwe i rzewne, wesole i smętne. Czułam w nim dziwną poezję, ogarniającą mą duszę, gdy pomyślałam, że śpiewacy, mieszkańcy ubogich domostw, zapominając o nędzy i biedzie dnia wczorajszego, nie pomnąc na głód tygodnia przyszłego, — na teraz nasyceni i napojeni, wznosili w śpiewie dzięki swe ku Twórcy, sławiąc potęgę Jego i wielkość. Złudzeni panującym w około sobotnim dostatkiem, uroczystością dnia, na skrzydłach fantazji przenosili się w owe kwieciste doliny, które były kolebką ludu izraelskiego i widownią przeszłej jego wielkości, i gdzie na wzgórzu Syonu stała świątynia ich przodków, w której lewici, ród kapłański, pełnili służbę Bożą, śród dymu i woni kadzideł.

„Niech cieszy się Izrael Twórcą swoim, niech synowie Syonu radują się królem swoim”.

„Niech chwałą imię Jego fletem, bębniem i cytrą, niech grają Mu”.

„Bo upodobał Bóg lud swój, uwieńczy pokornych wybawieniem”.

Tak śpiewał Dawid, z miną urocząstą wtórował mu współbiesiadnik. Było to czwartej już soboty po moim przyjeździe. Basia usiadła przy oknie z dzieckiem na ręku, ja obok niej miejsce zajęłam.

— Ty w duchu, zapewne, ze śpiewu tego się śmiejesz, — powiedziała, badawczo patrząc mi w oczy. — Ty do innego już teraz towarzystwa nawykłaś, a obrzędy, nasze i obyczaje wprost śmiesznymi wydawać ci się muszą; przyznaj się, Rachelo!

— Z czego to wnosisz? — zapytałam.

— Z tego, — odparła, — że tak wielu znajduje się postępowych żydów, którzy z głośnym urąganiem wyszydzą nasz świat wierzeń i tradycyji i jawnie depezą po drogich sercu relikwiach naszych. W mieście, w którym mieszkałam, nasłuchiłam się tego do woli, do bólu serca. To, co my czcimy i miłujemy, oni zwać zabobnem i świętokradzką ręką usiłują obalić ten gmach, w którym nasi przodkowie żyli tyle tysięcy lat. Oni chcą nam wiarę w Boga odebrać, bo ciągle przeczą i przeczą wszystkiemu. Widząc nasz sposób modlenia się, słysząc o naszych postach, pokutach, wzruszają po-

gardliwie ramionami, mówiąc: to ludzie zaco-
fani.

Mówiła z werwą, z goryczą prawie, jak-
by chciała całą mocą przekonania i dotknię-
tej dumy zarzut podobny odeprzeć.

— Nie słuchaj ich, — żywo zwróciła się
do mnie, — nie słuchaj, bo oni nie lepsi od
nas. Rzuć ich, Rachelo! wyjdź za mąż za
uczciwego, bogobojnego żyda, a będziesz
szczęśliwą, zobaczysz.

Uśmiechnęłam się mimowolnie.

— Albo wiesz co? — ciągnęła dalej i u-
jęła moją rękę, — wyjdź za pana K., któ-
ry, o ile miarkuję, — żarliwie ci się zaleca.
Jestto uczciwością człowiek i żyd, choć po-
stępowiec. Szanujemy go, bo on taki uprzej-
my, przyjacielski. Obyczajów naszych nie
wysmiewa, wiary nie podkopuje, lecz często
siada z nami i opowiada dziwnie piękne rze-
czy z historii, o świecie i narodach, o wa-
dach ludzkich i zasługach, o ludzkiej praw-
dzie i nikkzemności, a my go słuchamy
i podziwiamy mądrość jego i naukę.

— Widzisz, Basiu, — wtrąciłam, — ta-
kich żydów, jak pan K., jest wielu. Oni nie
wysmiewają wad plemina swojego dla wła-
snej satysfakcji, ale dla tego, że szczerze
pragną je wytępić. Pragną je wytępić i roz-
proszyc ciemnię umysłową, w jakiej lud po-
grążony, i dla tego nieraz gromią i potępia-

ją, klną i szydzą. Lecz szydzą z bólem w sercu, z goryczą w duszy, bo wszak to ich lud, bracia, z którymi są związani węzłem przeszłości, historii i pamiątek.

Basia nic nie odpowiedziała, nie wiedziałam przeto, czy słowa moje trafiły jej do przekonania; lecz usłyszałam za sobą głos Dawida, który stał tuż blisko nas i widocznie przysłuchiwał się naszej rozmowie. Oprócz nas nikogo już w pokoju nie było.

— Tak,—wyrzekł,—nie brak wśród nas przesądów i wad plemiennych, zdałaby się nam oświata jakaś. Na roli naszej dużo narosło chwastu i zielska, któreby wypłenić należało, lecz trzeba na to umiejętnej ręki, by wraz z niegodnym zielskiem i zdrowych ziół nie wykorzeniła.

Basia cicho wetschnęła. Dziecko nawpół senne, ziewnęło i poczęło płakać. Ojciec, odebrawszy je z rąk matki, czule uspakajał, poczem do snu ułożył.

Wodziłam za nim ciekawie okiem. Zdziwiona jego odezwą, czekałam na dalsze wyjaśnienie myśli w niej zawartej, lecz on, pochyliwszy się nad kolebką dziecka, począł cienkim głosem piosnkę mu nucić. Wkrótce Basia na zwykłą w sobotę, poobiednią udała się siestę, a w mieszkaniu zapanowała cisza, przerywana tylko brzęczeniem much,

które całemi rojami przez otwarte wlatywały okno.

Dawid po chwili zasiadł nad rozwartą księgą, w której czytaniu pograżył się całkowicie,—ja zaś zesłam na ganek, a ztamtąd poprzez pola, trzymając się między, po dążyłam w stronę lasu, gdzie mieszkało czworo osób, z Warszawy przybyłych, z którymi się po przyjeździe moim zaraz zaznajomiłam. Letnicy ci, kurzem miejskim przesyleni, zamieszkiwali mały, leśny domek, otoczony wieńcem drzew rozłożystych, co żywiczną swą woń rozlewały w około. Piękna to była siedziba, prawdziwa sielanka, gdzie wolno było śnić i marzyć, tworzyć piękne ody i snuć pieśni miłosne; gdzie wolno było zapomnieć o troskach życia, o walce ciężkiej i krwawej, i wśród szelestu drzew, przy szemraniu strumyka, co zdała, jak srebrna wstęga, bujną przerzynał polanę, zasypiać spokojnie i bezpiecznie. To też mieszkańcy owego cichego ustronia z całą przyjemnością używali swobody wiejskiej, napawając się wonią kwiatów, kąpiąc się w przezroczystej wodzie, a we dnie skwarne odpoczywając w wysokiej trawie gęstwiny leśnej.

Panowie K. i T. byli to ludzie pracy, koledzy w jednym zawodzie i zakładzie pracujący, a żona tego ostatniego, oraz matka

pana K., przybyłe wraz z nimi, ze wszechmiar godne były szacunku i sympatji. Przychodziłam do nich prawie codzien i bywałam witana życzliwie i radośnie. Siadywaliśmy wszyscy razem w bujnej trawie, lub nad brzegiem strumienia, w którego gładkiem zwierciadle malowniczo się rysowały kształty drzew, co, wysokie swe skłaniając ku sobie wierzchołki, zdawały się tajemnicze prowadzić ze sobą rozmowy. W powietrzu szybowały jaskółki, unosząc się wysoko, do obłoków prawie, lub też bystrym poławem zniżając, skrzydłami gładkiej dotykały przezroczy. Zdaleka słyszeć się dawał odgłos fujarki wiejskiej, lub nawoływanie pasterzy z poblizkiej łąki, na które kiedy niekiedy odpowiadał ryk krowy, lub smętny bek zbłąkanej owcy.

Rozmowa toczyła się zwykle poważna, odpowiednio do otaczającej nas panoramy i uroczystej symfonji natury. Poruszano w niej nędzę ludzką, ból i cierpienia; omawiano kwestje i instytucje społeczne, wykazując ich niedostatki i ustrój wadliwy. Wykazywano faktami i stwierdzano statystyką, wzrastającą z rokiem każdym rubrykę przestępstw i zbrodni, oraz liczbę samobójstw, przez nieletnich niemal denatów popełnianych. Rozbierano zjawiska owe umysłem trzeźwym, zapuszczano skalpel w bolącą ra-

nę społeczeństwa, chcąc zbadać głębię jej i naturę.

Były to palące kwestje chwili bieżącej, co drgały życiem i gorączką, przeto z niezmierną uwagą śledziłam za biegiem myśli pana K., który z wielką jasnością zdania wysnuwał djagnozę szerzącej się między młodzieżą choroby i zgnilizny moralnej.

Mówca sam wiele musiał przecierpieć, smutne przechodzić w życiu koleje, skoro z tak podziwienia godną znajomością rzeczy odsłaniał gorzką prawdę, kryjącą się częstokroć pod złudną obłoną błyszczących strzępów.

Pan K. miał czoło, poorane zmarszczkami, a twarz nosiła ślady cierpień. Nie opowiadał o swojej przeszłości, ale ze słów i wspomnień, jakie mu się w ciągu rozmowy nieraz nasuwały, wnosić mogłam, iż życie twardą dlań było szkołą i że ciężko musiał walczyć, zanim do obecnego doszedł stanu, zanim pewne potrafił zdobyć sobie stanowisko.

W każdym słowie, w każdym zdaniu tego człowieka czuć było siłę woli, z jaką zwalczał zaciętość losu; lecz brzmiała w nich też wiara i tryumf, że pokonał ciemne moce, że duchem światłym zdołał zwycięstwo zapewnić.

Zżywał się na prądy nowoczesnej literatury, na pozytywizm jej, niedowiarstwo ab-

solutne i ostro potępiał publicznych prowodyrów, co po krętych ścieżkach sofizmu i tym podobnych abstrakcyj prowadzi ludzkość do świata zrujnowanych ideałów i gorzkich illuzji.

— A przecie, — mawiał, — wraz z utratą wiary i ideałów ludzkość traci najpiękniejsze swoje dobro, główną podstawę moralnego bytu i rozrostu. Jak kwiat bez rosy i słońca, tak ona też więdnie i usycha w dusznej atmosferze filozofji nowoczesnej. Naszem hasłem egoizm i interes osobisty, a główną modłą w życiu rozum i niewiara.

Dla tego też zgorzkniała i zdenerwowana mamy młodzież; dlatego bez wiary w sercu i szlachetnych porywów traci ona swe siły w pogoni za mamoną, w zbytkach i rozpucie. Nie rozumie ona innych hasel i celów, nie poznaje już napisu na dawnych sztandarach, lecz, rozproszona w życiu, szuka zadowolenia osobistych interesów, chwilowych zachcianek i fantazji.

Teorja walki o byt pochłania umysły, a uczucie w sercu zabija, a jednostka, widząc w tej teorji ogólne prawo natury, walczy zawzięcie o dobro swe indywidualne, najmniejszego nie czując skrupułu, iż depeze i gwałci prawo bliźniego.

Westchnął i po chwili mówił dalej.

— Lecz stan podobny długo potrwać nie

może. Wkrótce nastąpić musi reakcja, jeśli ród ludzki nie ma skarlłowacieć i zmarnieć zupełnie. Egoizm i względy osobiste ani szczęścia zapewnić, ani jedynymi w życiu bodźcami być nam nie mogą. My lakniemy bodźców innych: wiary, ideałów.

Wkrótce powstanie prąd inny... fermentuje już w powietrzu... tu i owdzie słyszeć się daje głos rozczarowania i przesytu tętno -- i wkrótce, jutro może, tłum rozgoryczony roztrzaska posąg bogini mądrości i do dawnej, opuszczonej świątyni powróci.

Słuchaliśmy najczęściej wszyscy w milczeniu, przejęci prawdą słów jego, ogniem i siłą przekonania. Gdy mówił, nieraz przypominałam sobie wiele rzeczy, których dawniej nie rozumiałam, wiele zagadek, jakich rozstrzygnąć nie mogłam. Przedemną żywo stawały postacie dawnych znajomych, owych entuzyastów, którzy kiedyś, śród nocnej ciszy, głosili dumne hasła o prawach ludzkich i wolności, którzy walczyć chcieli w obronie niskich i małuczkich. A pamięć słowo po słowie powtarzała mi treść owych tyrad i haseł.

Czy spełnili to, co zapowiadali?—pytałam siebie w duchu;—czy owi mówcy, po opuszczeniu ław szkolnych, o dawnych ideałach swych nie zapomnieli i walczyć nie przesta-

li? lub czy też szablę do pochwy wsunęli, a sztandar zdruzgotali?

W myśli mignęła postać adwokata Zanda, z wiecznym swym stereotypowym na ustach uśmiechem, z sercem, pełnym egoizmu i wyrachowania, a w uszach zabrzmiała, jakby żywa, podsłuchana niedawno rozmowa, która, pełna jadu i szyderstwa, błotem obryzgiwała pamięć dawnych ideałów i świętości.

On po opuszczeniu ławy szkolnej zdradził swe hasło, sztandar połamał i nogą podeptał. Wymowny szermierz za idee równości i braterstwa, — po wstąpieniu na arenę świata do silnych przeszedł, a słabymi pogardził. Zręczny łowiec w gonitwie za mamoną, w gonitwie tej widzi najwyższy cel i jedyne zadanie życia.

Lecz czy podobna, by go cel ten zadowolnił? Czy nigdy myślą tęskną nie sięga poza obecną, ciasną ramkę w te odległe obszary, po których niegdyś duch jego bujał swobodnie, najwyższe sobą ogarniając sfery? Czy światów onych nie pożałował, ani razu nie pożałował przeszłości?

A przecie ta gorycz, ze słów tryskająca, ten szyderczy wyraz twarzy — nie świadczą li one dowodnie o rozprzeżeniu moralnem tego człowieka, który pierworodność swą duchową sprzedał za miskę soczewicy, w nadziei, iż się nią nasyci na zawsze, na zawsze.

Tak! choć on się do tego nie przyznaje, choć jawnie hołduje prozie życia, — w pewnym zakątku serca, w pewnej chwili tęsknej czuje jednak żal po minionej poezji, po podnioślejszej treści życia.

On się do tego żalu nie przyznaje, lecz głośny wyraz onego daje się słyszeć w słowach, wypowiedzianych przez przyjaciela jego, pana Blum, w tęsknocie tego ostatniego za zmarłemi porywami młodości, w zawiści, jaką żywi względem tych, co, pełni jeszcze wiary i nadziei, roją o ludzkości, ofiarach i poświęceniu.

„My łakniemy bodźców innych: wiary idealów”, w myśli powtórzyłam słowa pana K. „Egoizm i względy osobiste szczęścia nam zapewnić nie mogą — i wkrótce, jutro może, nastąpi prąd inny!” — Jutro! a dziś? Dziś mająż wszyscy w gonitwie za mamoną szukać zadowolenia zmysłowych instynktów swoich? takąż ma być cecha, takie natchnienie pokolenia naszego?... Nie, tak być nie może! I w terażniejszości nie mało mamy typów dodatnich, ludzi z sercem i szlachetną dążnością, którzy potrzeby ogólne nad osobiste podnoszą, a sprawę własną dla dobra społeczeństwa poświęcić są gotowi. Takimi są panowie K. i T., takich setki i tysiące naliczyć można; tylko głosy ich prze-

brzmiewają bez echa śród chaotycznej wrzawy rozlicznej rzeszy.

Późna już była godzina, gdy wieczoru onego szliśmy w milczeniu, nie chcąc przerywać tej ciszy natury, która o owej porze wydawała się nader uroczystą. Księżyc sunął po firmamencie, okrążony miliardem gwiazd, jak możny władca śród swoich wazalów. Cień od naszych postaci wyprzedzał kroki i po łące w najwyszukańszych słał się zygzakach. Zapach świeżo skoszonej trawy unosił się w powietrzu i aromatem swym nerwy koił, smutek łagodził.

— Co za piękna noc! — przerwałam milczenie; — dlaczego w mieście takich pięknych nocy nie mamy.

— Mamy takowe i w mieście, — odparł, tylko mniej żywo odczuwamy tam ich piękność. Oko, pociągane światłem gazowych latarni, nie umie podziwiać jasności księżycy; a z za wysokich filarów i szczytów miejskich sklepienie niebieskie błękitną zaledwie wyziera smugą.

— Pan długo pozostanie jeszcze na wsi? — zapytałam.

— Nie; obowiązki wołają mię gdzieindziej. Piękna sielanka mija i życie powszednie wstępuje w swe prawa. Trzeba opuścić wieś dla miasta, naturę dla ludzi, idylę dla pracy. Dni Aranzuezu skończone.

— Czy nie można idyli z pracą połączyć?
— zapytałam.

— Nie, bo sumienna praca bywa ciężką, twardą, mozolną. Sumienna praca orze i sieje, sieje i orze, a wzamian odbiera często kroć kolce i pokrzywę. To nasza zasługa, którą przyjmujemy z pokrwawionemi rękoma i zranionem sercem—ale dalej naprzód! Nam cofać się nie wolno, bo słyszymy wołanie, ciężki jęk, zgrzyt niedoli. Panno Rachelo! w życiu niema sielanki.

— O, jakże to smutne!—zawołałam.—Smutne,—powtórzył; — ale pocieszyć nas winna myśl, że życie nasze nie przeszło daremnie, żeśmy pracowali na niwie ludzkości, żeśmy w nią zdrowe ziarno wszczepili. Cieszymy się owocem naszej pracy i nie zrażamy się pokrzywą. Ale—zasmuciłem panią,—przerwał sam sobie.—Czy pani też wkrótce już wyjeżdża?

— Tesknię za rodzicami, za domem,—odparłam z lekkim pomieszaniem w głosie. Nie uwierzy pan, ale odkąd zapamiętać mogę, nigdy z rodzicami mojemu się nie rozstawałam. Trzeba panu bowiem wiedzieć, że u moich rodziców jedynem jestem dzieckiem, pieszczoną jedynaczką, — dodałam z uśmiechem.—Ale bynajmniej nie rozpieszczoną,—odparł też z uśmiechem.—Odtąd, gdy który ze śmiazków w mojej obecności odważy się

mówić uszczypliwie o jedynaczkach, panią sobie przypomnę i dzielnie o zrehabilitowanie podeptanej opinii tamtych walczyć będę.

— O, zaiste! — odparłam, — możesz pan znaleźć wiele innych krzywd ludzkich, bardziej godnych obrony. Szanuj zatem swój miecz, dzielny rycerzu! i do nędznych utarceń go nie używaj.

Śród wesołej rozmowy stanęliśmy wreszcie u kresu.

— Może pan wstąpi i z drogi nieco odpocznie? — zapytałam.

— Nie, zbyt już późno. Dobranoc pani.

— Dobranoc.

Wbiegłam na ganek i wpadłam do pokoju. W pokoju tym było ciemno, w drugim zaś słabe migotało światelko. Zdziwiona, próg jego przestąpiłam i stanęłam przerażona.

Basia leżała na łóżku i głucho jęczała, a Dawid stał u jej wezgłowia z niespokojnie wpatrzonem w nią okiem. Dziecko, z płaczem przykucnęło na ziemi i głośno wołało matki.

— Co się stało? — spytałam przestraszona, -- co ci jest, Basiu?

— Głowa mię boli, w uszach coś szumi, a przed oczami tuman jakiś, — słabo odpowiedziała.

Przyłożyłam rękę do jej skroni, — głowę

miała rozpaloną. Naprędce namoczyłam chustkę w gorącej wodzie i głowę jej obłożyłam kompresem. Zdawało się to przynosić jej pewną ulgę. Podniosłam rozplakane dziecko i włożyłam do łóżeczka. Pochyliłam się ku niemu, a ono, objąwszy mnie rączkami za szyję, wkrótce usnęło.

Nazajutrz i dni następnych stan Basi się nie polepszał. Sprowadzony z miasta lekarz nie mógł choroby oznaczyć, symptomata bowiem zbyt były niepewne. Raz jej było zimno, to znowu gorąco; kolejno występowały na twarzy wypieki czerwone, to znów dreszcze wstrząsały nią niemiłosiernie. Ból też przechodził z miejsca na miejsce, szybko się wzmagając, lub też znikając nagle, by z podwójną znów powstać mocą.

O wyjeździe już nie myślałam. Czuwałam po całych nocach u łóża chorej z jedyną tylko myślą dźwignięcia jej z choroby. Zmieniła się bardzo. Oczy jej gorączkowym świeciły blaskiem, a zeschnięte wargi straciły dawną swą świeżość, stawszy się sine i bezkrwiste.

Tak trzy długie i jednostajne przeszły tygodnie, wśród krzyku i stękania chorej, w trwodze, móżolach i pracy. Od czuwania w nocy czułam się sama tak słabą, że się ledwo na nogach trzymałam. Często też dostawałam zawrotu głowy i mdłości, a lekarz, puls mój

zbadawszy, oświadczył, iż powinnam się oszczędzać, jeśli niechęć zdrowia swego ostatecznie zrujnować. Ulegając usilnym prośbom Dawida, który troskliwym okiem zdawał się i nad mojem czuwać zdrowiem, oddalałam się na kilka godzin, lecz za najlżejszym w pokoju chorej szelestem rychło na postereunek swój wracałam.

Przychodzili też panowie K. i T. Przesiadawali po całych nieraz nocach, — z chęcią ulżenia nam ciężaru i zastąpienia przy łożu chorej. Często w nocy, gdy jęk Basi stawał się głośniejszym, a Dawid, prawie nieprzytomny, ręce załamywał, — oni jednym pędem wsiadali na koń i w niespełną godzinę przebiegali znaczną przestrzeń do miasta i napowrót, przywożąc ze sobą zaspanego najczęściej i prawie przemocą wyciągniętego z łóżka. — eskulapa.

Czwartego tygodnia gorączka wzmogła się do najwyższego stopnia i niebezpieczeństwo do kulminacyjnego doszło punktu. Pot lał się z chorej strugami, a oczy fosforesywiście błyszczały.

Ze wstrzymanym w piersi oddechem spoglądaliśmy na ten bój zacięty, który natura ze śmiercią staczała. Obezwładniona gorączką, Basia nadedniem usnęła. Nazajutrz doktor, spojrzawszy na chorą i dotknąwszy jej pul-

su, — oświadczył, że kryzys minęła i teraz polepszenie rychło nastąpi.

Po raz pierwszy po wielu tygodniach dnia tego spokojnie odetchnęłam i z myślą swobodną udałam się na spoczynek.

Lekarz wiele jeszcze zalecał ostrożności; postanowiłam więc wyjazd swój nieco jeszcze ociągnąć, i odjechać wtedy, gdy Basia będzie zupełnie już na nogach. Myśli moje jednak pomknęły już w stronę domu. Poczęłam myśleć o rodzicach, o Gustawie, i tęsknota moja wzrastała coraz bardziej. Dawid nalegał, ażebym przez resztę dni pobytu mego na wsi wiejskich używała przyjemności;—więc gdy Basia zasypiała spokojnie, dziecko zaś pod nadzorem piastunki wesoło się bawiło, — biegłam na pole i łąki, przyglądałam się wiejskiemu gospodarstwu, słuchałam śpiewu żniwiarzy, który od czasu do czasu przerywał chrzęst krzyżujących się ze sobą i połyskujących na słońcu kos i sierpów.

Rozochocona panującą dokoła swobodą, szybkim krokiem przebywałam przestrzeń do lasu, gdzie w cienistym jakimś zakątku zastawałam towarzystwo na pogawędce, lub głośnem czytaniu. Na mój widok głośne zazwyczaj rozlegały się okrzyki i powitania:

-- Samarytanka! Ah, witaj, samarytanko!

Od czasu choroby Basi poufna w rozmow-

wie zapanowała nuta i w obejściu szczerą życzliwość.

Robiono mi miejsce na trawie, zapraszano do skromnej wieczerzy, do spożywania z nimi, „co Bóg dał” i „czem chata bogata”.

Rozkoszowaliśmy się wszyscy prostotą wiejskich obyczajów, niewyszukanością potrzeb życiowych i ze swawolą niedorostków staraliśmy się język ludowy naśladować, co wesołe zwykle wywoływało śmiechy i dowcipy.

Niekiedy też, w dniu mniej skwarne, całą gromadą zawracaliśmy na pobliską łąkę, na której wznosiło się kilkanaście wysoko w górę piętrzących się stogów siana. U podnóża jednego z nich rozkładaliśmy się wszyscy wieńcem i, delektując się aromatem, unoszącym się w powietrzu, wzrok napawaliśmy widokiem cudownego wokół krajobrazu.

Zdała, na tle złocistych kłosów, przy srebrnych odbłysek stali, migotały tu i ówdzie różnobarwne postacie żniwiarzy i żniwiarerek. Za każdym ręki zamachem całe snopy padały ścięte, a z za nich, niby z za zdobytych szańców, nowe wylaniały się postacie. Zachodzące słońce słało ostatnie swe promienie, a łagodny wietrzyk chłodził powietrze, dziennym skwarem nasiąkłe. Koniaki polne przelatywały z miejsca na miejsce,

jakby lud roboczy do porzucenia pracy i do odpoczynku wezwać chciały.

Piękny to był obraz bogatej natury i pracowitych jej wyzyskiwaczy. Patrzyliśmy, a łono wzbierało nam poczuciem wielkości i potęgi cudownej owej siły, co martwą ziemię użyznia i złotem ziarnem pokrywa.

Zdala widniała też niekiedy przed nami postać Dawida. Odległość tłumiała odgłos słów jego, lecz podziwialiśmy wprawę, z jaką od czasu do czasu którego ze spoconych żniwiarzy w pracy wyręczał. Sierp, mocną jego ujęty dłonią, świstał pośród kłosów, szybko pustosząc falującą niwę. On posuwał się swobodnie, dalej znąc i pustosząc, a humor tryskał mu z twarzy, widniał ze zwałych jego ruchów.

— Dzielny z Dawida robotnik,—odezwał się pan K.;—szybko pokonał trudności i sierpem manewruje, jak kmieć z rodu. Nie święci zatem garnki lepia, i żyd chałatowy, który do łokcia i miarki stworzonym się być zdaje, niemniej też pełnić może zawód rolnika. Wszystko zasada się na uczciwym pojmowaniu zadania ludzkiego, na godnym pełnieniu obowiązków, a że taki, jak Dawid, żyd, na każdym polu uczciwie by obowiązki swe spełniał, o tem najmocniej jestem przekonany.

— Oby przekonanie to jak najprędzej przynikło zastępy niedowiarków, którzy żyda

pasobytem mianują i nędznym tylko wyzyskiwaczem! — z goryczą wyrzekł pan T. — Oby pierzchły przesady, co mu równych praw i zdolności odmawiają; oby zginęły na zawsze i niepowrotnie!

Nastał wreszcie dzień mego wyjazdu. Byłam smutna. Tulilaam dziecko do piersi i złote włosy gorącemi okrywałam pocałunkami. Przywiązałam się do tych ludzi węzłem przyjaźni i teraz, żegnając ich, czułam żal niewymowny, jakbym drogich przyjaciół na długi, długi czas, lub na zawsze porzucić miała.

Pan K. przyszedł też mię pożegnać, — był blady, zmieszany. Usta jego poruszały się, jakby coś wypowiedzieć chciały, ale nie mogły się na słowa zdobyć. Niespokojnie gonił za mną wzrokiem, gdy z jednego pokoju przechodziłam do drugiego, aż wreszcie, korzystając z chwilowej nieobecności gospodarzy, ujął moją rękę.

— Panno Rachelo! czy się w życiu jeszcze spotkamy? — zapytał drżącym ze wzruszenia głosem.

— Naturalnie! — żywo odparłam. — Gdy będę w Warszawie z pewnością pana zobacze.

— A czy przedko pani będzie w Warszawie? — zapytał.

— Nie mogę oznaczyć, ale o panu nie zapomnę.

— Panno Rachelo!—zagadnął znowu i oko dziwnie mu błysło;—cobys powiedziała, gdybym pewnego, pięknego poranku przyjechał do twego miasteczka?

— Powitałabym pana, jako dobrego i miłego znajomego, — odpowiedziałam z uśmiechem.

— A gdybym,—ciągnął dalej niepewnym głosem, — gdybym przyszedł i powiedział: Panno Rachelo! życie me składa się z obowiązku i pracy. Nie bawiłem się nigdy; nie wiedziałem, co to młodość, słońce i kwiaty—i smutno mi bardzo. Czy chcesz być moją osłoda, promieniem, towarzyszką? Cobys pani odpowiedziała?

Zawisł spojrzeniem na ustach moich, a ja smutnem ogarnęłam go okiem. Żal mi było tego człowieka, żal, że nadzieje jego musiałam zniweczyć,—ale inaczej być nie mogło. Uścisnęłam jego rękę.

— Panie K...—wyrzekłam;—miłość moja należy już do innego, ale bądź mi bratem, proszę.

Ręka jego zadrżała w mojej i nic nie odpowiedział. Po chwili szepnął:—Dzięki i za to! —i złożył na rękę mojem gorący pocałunek.

Konie zajechały. Jeszcze raz serdecznie uścisnęłam Basię i wybiegłam z mieszkania.

Dawid ulokował mię na bryczce, obejrzał konie, dał polecenie woźnicy, a potem z uczuciem braterskim począł mię żegnać. — Rachelo!—mówił; — dawniej, gdy odwiedzałem dom rodziców twoich, znałem cię dobrem dzieckiem, szlachetną dziewczycą, ale nigdy nie cenilem cię tak, jak teraz cenię i szanuję. Praca twoja koło chorej mojej żony dowiodła, że książki, na które tak złowrogo niegdyś patrzyłem, nie ostudziły w tobie uczucia, nie ujęły serca. Dobra i skromna, z umysłem świątłym i rozwiniętym, — widzę w tobie wzór owych silnych duchem niewiast, o których pismo nasze mówi, iż: „kto takową znalazł, znalazł skarb bogaty”. Oby moja córka podobną do ciebie się stała, oby twoim poszła kiedyś tym śladem.

— Córka twoja na dzielną wyrośnie kobietę, bo dzielnego też ma ojca,—odparłam wzruszona.—Wychowaj ją tak, ażeby w przesądach nie grzęzła, by prawdę uznała i czciła, by umiała odróżnić zdrowe ziarno od zgnitego, wonne ziele od chwastu. Bywaj zdrów! szczęść wam Boże!

Konie ruszyły. Mrok już zapadał, szara mgła objęła okolicę, najbliższe przysłaniając przedemną widoki. Kilka psów, zbudzonych turkotem, głośno ujadać poczęło, poczem, wszystko uspokoiło się i ucichło.

Droga wydawała mi się długą i nudną—

i niecierpliwie poruszałam się na bryczce, chcąc ciemną rozpoznać okolicę. Po przez mgłę kształty drzew snuły się niewyraźnie przed oczyma, niby widma szare; a szelest liści, lekkim poruszanych wiatrem, zdawał się być tajemniczą rozmową dryad leśnych i duchów.

Na chwilę przymknęłam oczy. Pragnęłam usnąć nieco, by tym sposobem dzielącą mnie od domu przestrzeń przebyć nieświadomie, lecz bryczka trzęsa tak niemiłosiernie, iż zasnąć niepodobna było. Zniecierpliwiona, zwróciłam się do woźnicy z zapytaniem, czy długo jeszcze jechać wypadnie, gdy wtem, śród panującej dokoła ciszy, rozległo się uderzenie zegara na wieży poblizkiego kościoła, a wkrótce zamigotało światło i ukazały się szczyty rodzinnego miasta.

Serce we mnie zabiło i krew żywiej krążyć poczęła. Wysunęłam się naprzód, chcąc okiem ogarnąć ulicę i dom, w którego murach żyli ci wszyscy, których najwięcej na ziemi ukochałam.

W oknach naszego mieszkania było ciemno, na pierwszym zaś piętrze, w pokojach państwa Glas, żywe jaśniało światło, a po firankach snuły się cienie chodzących po pokoju osób. Zatem nie było jeszcze tak późno!

Zesłam z bryczki i, smutnem jakimś

opanowana przecuciem, przez ciemny korytarz skierowałam się ku naszemu mieszkaniu. Nacisnęłam mocno klamkę i po chwili ujrzałam we drzwiach rozespaną naszą służącą, Jentę, która na mój widok wybuchła płaczem. Wstrząsnęłam się. Rzuciłam się w objęcia matki, która stała oparta o drzwi drugiego pokoju z błędnym w oczach wyrazem, ręką przyciskając pierś, co podnosiła się jękiem tłumionym, spazmatycznym.

Uczułam zimno, nawskroś mię przejmujące, i bezwiednie, instynktowo rzuciłam się w głąb mieszkania.

— Gdzie ojciec?

W pokoju, od progu, wśród białej pościeli ujrzałam postać ludzką. Porwałam lampkę -- i wnet, przerażona, cofnęłam się w tył, głową o mur uderzywszy. Ojciec mój leżał żółty, jak воск, suchy, jak szkielet, a oczy jego nieruchomo patrzyły przed siebie. Szalona, porwałam jego rękę i namięt-nemi pokrywać ją poczęłam pocałunkami. Ręka jego była zimna, oblana potem; słabe tylko drgało w niej tętno.

— Ojczel! — wołałam, — przemów, na Boga! — ale on leżał prosty, bezwładny, z martwym na twarzy wyrazem.

Z okrzykiem boleści rzuciłam się o ziemię i, włosami wycierając podłogę, tarzałam się po niej szalona, nieprzytomna. Matka mię

dźwignęła i szeptać poczęła słowa ukojenia, ale nie słuchać nie chciałam i na nowo przyskoczyłam do łóżka.

— Ojczy! jedno słowo, pobłogosław swoją córkę!

I zdawało mi się, że oczy jego łąz się zaszklily, że ręka poruszyła się słabo, zadrgała konwulsyjnie.

— Ratunku! doktora!

Wybiegłam z pokoju, pędząc przez ulice w noc ciemną i mglistą. Ż odkrytą głową, z rozwianym włosom, w jeden obraz zapatrzona, pędziłam, jak strzała, jak wiatr szalony — i do bramy dotarłam. Pociągnęłam tak mocno za dzwonek, że dźwięk po całym rozległ się domu. Zasuwa skrzypnęła, drzwi się roztworzyły, i ja, jak bomba, wpadłam do przedpokoju.

— Doktora!

— Pan doktor śpi, nie kazał siebie budzić;—żywo odpowiedział lokaj, zastępując drogę.

— Zbudź go pan, mnie doktora potrzeba! —gwałtownie przerwałam.

— Ależ pan mój zmęczony i niedawno wrócił;—odparł.

— Panie! ojciec mi kona! — zawołałam, a głos mój drgał jękiem i boleścią.

Wzrok jego wyraził współczucie.

— Spocznij pani! pójdę panu mojemu powiedzieć.

Siadłam, bo nogi mi się chwiały i cała trzęsłam się spazmatycznie. Oczy utkwiliłam we drzwi, przez które lokaj przeszedł i z bijącym czekałam sercem. Każda chwila wiekiem mi się być zdawała i, niecierpliwa, poczęłam śledzić biegu skazówek na cyferblacie. Portjera wreszcie się poruszyła i— lokaj się ukazał.

— Pan mój się ubiera, zaraz wejdzie.

Poruszyłam się na krześle, drząc z niepokojem; siedziałam jednak cicho, ze wstrzymanym w piersi oddechem, ze ściśniętymi wargami, a we mnie wrzało i kipiało, niby wrzątek rozpalony. Zegar uderzył godzinę, za portjerą nic się nie poruszało. W bezsilnym gniewie tarłam czoło i łamałam ręce, że aż palce w stawach zatrzeszczały.

— Panie!—zwróciłam się do lokaja—błagam cię; powiedz, że pilno, że chwili tracić nie wolno.

Wysunął się i niebawem wrócił.

— Pan mój cygara tylko dopala; — szepnął.

Rzuciłam się, niby ukropem sparzona, a przekleństwo wybiegło na usta.—Tam mój ojciec leży bezwładny, zimny, ze słabem w piersi tętnem, ze słabą życia iskrą; a iskra ta, gdy ten tu się bawi, tymczasem wy-

gasnąć może! I porwał mię szal dziki, iż głośny krzyk wydałam, a ręka ścisnęła się konwulsyjnie.

— Ty, podły sybarytol cygaro palisz i na miękkiej spoczywasz otomanie, a tam człowiek ze śmiercią walczy i technienie wydaje ostatnie—a ty ratować go nie chcesz!

Pięścią uderzyłam o stół i zębami zgrzyt-
nęłam. Poczulałam dziką chęć druzgotania
waz, na stole stojących, i poniszczenia nogą
całego wykwintu bronzu i marmuru.

Drzwi skrzypnęły i na progu ukazał
się doktor wygolony, wypomadowany.

Uklonił się sztywno.

— Pani!—odezwał się;—za nocną wizytę
mniej, jak pięć rubli, nie wezmę.

— Doktorze!—przerwałam,—idźmy, ojciec
mój umiera!

Pociągnęłam go za sobą tak szybko, że
ledwo mógł za mną podążyć. Było już póź-
no, światła w oknach pogasły, a mgła, jak
biały całun, śpiące zaległa miasto. Nie wi-
dząc drogi, utykałam po nierównym bruku,
zataczałam się i chwiałam bezustannie.

Dobiegłam wreszcie do domu i wpadłam
do pokoju, kurczowo ściskając rękę doktora.

— Ratuj pan!—zawołałam.

Ojciec mój leżał ciągle jeszcze bezwład-
ny; tylko powieki lekko się poruszały, jak-
by zawrzeć się miały już na wieki.

Doktór skłonił się nad łóżkiem, a ja okiem i duszą zawisłam na twarzy jego, na ustach, czekając wyroku.

Matka, siedząc w kącie, cicho płakała.

— Niepotrzebnie mnie wezwano,— rozległ się głos doktora.— Tu leży trup, za chwilę życie całkiem w nim wygaśnie.

Było to przy końcu już lata, gdy Paulina, siedząc wraz ze mną na pobliskiej ławce, która była zwykłym kresem naszych przechadzek, usiłowała wyrwać mię z apatji i zwrócić myśl moją na piękną okolicę, drzewa i obłoki. Słuchałam obojętnie i milczałam.

— Czy wiesz?— przerwała nagle, — Ewa nazywa się już teraz panią Zand, pobrali się bowiem od miesiąca. Chciała zaraz po ślubie wyjechać z mężem za granicę, co do dobrego należy przecie tonu, lecz sprzeciwili się temu rodzice, którzy chcieli przez pierwszy choćby tydzień widokiem nowożeńców się nacieszyć.

Słuchałam, prawie znudzona. Co mię Ewa obchodzić mogła, co mię interesowało jej zamążpójście, lub wyjazd. Dla mnie na świecie całym nie było już nic wesołego, odkąd ojciec mój umarł. Mogiła jego pochłoneła radość, wszystkie nadzieje serca mojego. Cmentarz roztaczał się przedemną wielki:

wszędzie go widziałam, wszędzie czułam zapach zgnilizny i prochu.

— A Andzia od trzech tygodni bawi w Warszawie,—ciągnęła Paulina,—u stryja, człowieka bardzo bogatego. Czy wiesz? zaręczyła się z panem Blum, owym przyjacielem adwokata Zand, którego poznałaś na owym pamiętnym wieczorze u państwa Głas. Przyjechał wtedy w celu osobistego poznania Andzi, którą swatano mu już dawno. Oględziny wypadły korzystnie. Zaręczyli się niedawno, poczem razem z Gustawem wyjechali na jakiś czas do Warszawy.

Drgnęłam. Uczułam coś, jakby prąd elektryczny, a serce żywiej, mocniej zabiło. Gustaw!... Dźwięk rozlegał się wyraźny głośny, tętniał w powietrzu, szeleścił w liściach, dzwonił w śpiewie ptasząt. Gustaw! Czułam, jak pękała obręcz żelazna, co mi pierś ścisnęła i źródło życia nowy, świeży rozlewał się po żyłach, tryskał, szumiał... Gdzież jest? dla czego go niema?

Rękę podniosłam do czoła i tarłam je mocno, rozproszone chcąc zebrać myśli... Gdzież jest? Ja szaleję z bólu i rozpacz, ginę z nadmiaru boleści, a on nie szepcze mi słowa ukojenia, silnem nie podtrzymuje ramieniem! Gdzie Gustaw? wybuchnęłam i porwałam rękę Pauliny.

Spojrzała na mnie zdziwiona, przerażona niemal.

— Wakacje się skończyły,—odpowiedziała,—wyjechał! Kazał cię pozdrowić.

— Wyjechał!.. On nie wie, że ojciec mój umarł, że kręcę się i wiję w boleściach, nie wie! Bo gdyby wiedział, byłby przy mnie, podtrzymałby mię silnem ramieniem i szeptał słowa miłości i ukojenia. A ja skłoniłabym głowę na jego piersi i wyplakałabym się serdecznie, do woli. Potem wzięłabym go za rękę i poprowadziłabym na grób ojca mojego, a padłszy na zimną mogiłę, powiedziałabym: Ojcze! to syn twój, to człowiek, który twoją Rachelę ukochał,—módl się za niego i błogosław! A ojciec spojrzałby z góry radośnie i szepnąłby: Córko moja! nie rozpaczaj, żyj! bo życie twe młode, świat jeszcze piękny, a kochać—prawo młodości.

Uczucie budziło się we mnie i rwało do życia, do szczęścia, do miłości. Spojrzałam dokoła. Wszędzie jasno, zielono, wesoło, Jaskółki szybowały w powietrzu, pszczoły zbierały miód, a motylki przelatowały z kwiatu na kwiat. Wszystko, co żyło, weseliło się i śpiewało. W chórze tym słyszałam radosne: Haleluja!

— Paulino!—szepnęłam, — świat tak piękny, życie nasze młode, żyjmy!

Znowu spojrzała na mnie zdziwiona, a ja jej rękę ścisnęłam w swojej mocno, tkliwie.

Odtąd apatja pierzchła, ból się koił, łagodniał. Matka mi opowiedziała cały przebieg ojcowskiej choroby, przedśmiertne dni jego, ostatnie słowa, rozporządzenia i skazówki. Myśl o mojej przyszłości zajmowała go aż do chwili utraty przytomności, i do ostatniej chwili pocieszał się nadzieją, że brat, którego w przedśmiertnym piśmie nazywał mi opiekunem, wdowy i sieroty nie opuści. Matka po śmierci ojca doniosła była stryjowi o nieszczęściu i czekałyśmy przyjazdu jego z dnia na dzień. Zasoby nasze pieniężne były bardzo szczupłe i matka moja liczyła na pomoc i poradę stryja, by coś postanowić, przedsięwziąć. Tym sposobem potrzeby życiowe przygłuszały w sercu jęk boleści, powoli wszystko się wygładzało i do dawnego wracało trybu. Ja rzuciłam się do książek chciwie, jakby zgłodniała. Byłam spragniona tego pokarmu, którego nie miałam już tak dawno, a który teraz umysł mój koił i nasyczał.

Pod wpływem książek, oraz częstych z Pauliną pogadanek o samodzielności kobiety, dojrzewiała we mnie myśl, jaka dawno już kiełkowała w mej głowie. Nie chcąc być od stryja zależną, a znając dokładnie stan finansowy matki, postanowiłam poszukać so-

bie lekcji, by tym sposobem mózdz w części własną pracą sobie i jej ulżyć. Myśl ta wdzięcznie mi się uśmiechała, i chcąc zamiar swój jak najprędzej wprowadzić w wykonanie, poprosiłam Pauliny, by mię w kilku domach zarekomendować chciała. Ona, patentowana nauczycielka, miała lekcji zawsze podostatkiem, ja zaś, nie posiadająca potrzebnej pod tym względem rutyny, liczyłam na pocziwą jej pomoc i skazówki. Ona jednak, usłyszawszy o moim zamiarze, zamiast mu potakiwać, stanowczo mi odradzać poczęła.

— Ty nie wiesz, — mówiła, — co znaczy bakalarka; jaka to praca mozolna, nudna, a niewdzięczna. O ile ci się ona łatwą i przyjemną wyda z początku, o tyle później stanie się gorzką, ciężką—drogą, najezoną kolecami i pokrzywą.

Zawód nauczycielski, acz w teorji piękny, może wśród żydów nie wyrobił sobie jeszcze prawa obywatelstwa, należnego mu uznania nie zdobył. Patrzą się nań, jako na intruza, i tolerują jedynie z konieczności. Nauczyciel nie wywiera tam wpływu: cała jego działalność ogranicza się na biernem układaniu przedmiotu, podług programu rodziców nakreślonego, a który to program częściej ze strony ich podlega kontroli. I tak, za nędzne honorarjum, które ci w formie po-

datkowego jakoby czynszu wyplacą, będziesz musiała wyrzec się własnej indywidualności, własnego „ja” i zastosować metodę swoją do pedagogicznych skazówek szanownych ojców i matek, jako głównych w tej mierze autorytetów. A z obawy utraty lekcji trzeba ci będzie znosić wszystkie ich głupie pretensje i wymagania. Oni naukę mają za temat, który się na łokieć i wagę sprzedaje i który za pewną kwotę w pewnej też ilości nabyć można. Myślą przeto, że i towaru duchowego za grosz, złoty, lub rubla dostać można. — Śród praktyki mojej nauczycielskiej zdarzały się wypadki, że srodze mi wymawiano, iż uczenica moja, po dwumiesięcznym kursie nauki, nie w stanie jeszcze przeczytać aktu sądowego, lub innego niewyraźnego pisma, — i żądano odemnie, ażebym zaniechała z uczenicą czytania druku, natomiast odcyfrowywaniem rękopisów się zajęła, w jakim to celu całej pliki dla jej egzercytowania mi dostarczono. Gdzieindziej znowu ojciec, bardziej jeszcze zabieглиwy, zżymał się na to, że dwunastoletnia jego córka wekslu napisać, lub innego, podobnego procederu załatwić nie umiała, i z tej właśnie racji lekcji mi odmówiono. — Takie, mniej więcej, Rachelo, zbieramy płony i owoce z tej niwy, którą potem i lżą oblewamy;— owoc to cierpki i kwaśny, nie

radzę ci go zakosztować, boby ci się wnet usta spaliły, a twarz wykrzywiła. Porzuć swój zamiar i zajmij się czem innym.

— Do czego innego nie jestem zdolną, Paulino! do rzemiosła nie czuję najmniejszej skłonności. Praca nauczycielska, pomimo obrazy, jaki o niej nakreśliłaś, stanowczo mię pociąga i spodziewam się, że nie prędko rozczarowanie nastąpi.

— Więc gotowam ci chętnie dopomódz, — powiedziała.

Zajęta temi myślami, uspokoiłam się prawie zupełnie. Zaczęłam na nowo o przyszłości marzyć i piękną przeszłość wspominać. Obraz Gustawa często zjawiał się przedemną, jak promień, co mi życie ozłacał. Śniłam, że za rok życie me w inną przejdzie fazę, a serce drżało przecuciem szczęścia i radości.

Bywały jednak dni, że, smutna, przedstawiałam sobie niestałość uczuć ludzkich i dręczyłam się myślą przewrotu, jaki czas i odległość w duszy Gustawa wywołać były w stanie. Wieści już dawno o nim nie miałam. Krótkie ukłony i pozdrowienia, jakie on dawniej w listach do Andzi dla mnie złączał, wraz z jej wyjazdem ustały, a teraz daremnie z niecierpliwością czekałam wiadomości, odgłosu, wspomnienia. Rodzice Gustawa, których od czasu do czasu odwie-

działam, smutni byli jacyś i mniej dla mnie uprzejmi, nie śmiałam przeto do nich zwrócić się z zapytaniem. Po tysiąc więc razy postanawiałam Paulinie się zwierzyć, odkryć jej nurtujące w sercu wątpliwości i prosić o wyjaśnienie: ona wszak często w towarzystwie jego bywała, czy nigdy z nią o mnie nie mówił?

Lecz długo wahałam się i niepewnością się dreczyłam, aż razu jednego z udanym zapytałam ją spokojem, czy w Gustawie żadnej zmiany nie odkryła.

— W wieku, w jakim Gustaw się znajduje, — odpowiedziała nawpół z uśmiechem, — każdy tydzień może sprowadzić zmianę w zdaniu i poglądach. Mało wprowadzie z nim obcowałam, ale wydał mi się bardziej w sobie zamkniętym, mniej żywym. Najczęściej przesiadywał w gronie fachowców i lekarzy, z którymi to ostatnimi rozmawiał o medycynie—chorobach i praktyce. Ma on zamiar po ukończeniu kursu uniwersyteckiego wyjechać na czas jakiś za granicę, poczem w Warszawie się osiedlić, bo za nie, jak mówił, małomiasteczkowym nie chciałby zostać lekarzem. W ogóle, o ile mi się zdaje, pewien realizm w nim teraz przeważa; mniej się zresztą entuzjazmuje, rzadziej o społeczeństwie prawi. Oto wszystko, co ci o nim powiedzieć mogę.

— A nie mówiłaś z nim?—zapytałam nieśmiało.

— Owszem, — odrzekła;— przypomniałam mu raz, że mniej teraz o ludzkości i poświęceniu mówi.— Pani! — odparł, — życie tak ciężkie, iż człowiek w końcu egoistą się staje i więcej o sobie, aniżeli o innych myśleć i mówić zaczyna.

— Ależ panu nie wolno być egoistą—odparłam, —bo życie jeszcze się panu we znaki nie dało.

— Tak, — odpowiedział, — ale widzę walkę ogólną, jaka się toczy, i spodziewam się, że ona mnie też nie uszanuje.

— O! pan walki przecie się nie ulęknie—rzekłam, — bo dawniej pan tak dzielnie za prawdę i ideały walczyć chciałeś.

Uśmiechnął się i na razie nic nie odpowiedział, po chwili zaś rzekł:—Ideały są piękne pod gwiazdzistym niebem, w noc księżycową i letnią, lecz u wejścia do sali anatomicznej maleją, niestety! znikają zaś zupełnie w chwili, gdy człowiek o świat zewnętrzny ocierać się poczyna. Tam, przy krajaniu trupów, tu zaś, w zetknięciu z ludźmi żywymi, zapomina się o ideałach i poezji, a pamięta się o materji, materji jedynie. Materja jest treścią życia i główną jego podstawą, wszystko inne zaś — teorią i abstrakcją.

— Więc życie ideałów nie znosi?—zapytałam.

— I w życiu są ideały, — odparł; — ale różnej zupełnie natury. Dla jednych ideałem bywa bogactwo, dla drugich zaszczyty. Mój kolega, który niedawno dyplom doktora dostał, ideał swój w zwyczajnej widział otomanie.

— Jakże to rozumiał? — zdziwiona zapytałam.

— „Gdy skończę”, — mawiał nieraz, — „urządzę sobie gabinet dla przyjęcia chorych i wzdłuż ścian otomany poustawiać każę. Gdy kto wejdzie, uprzejmie go poproszę; by zajął miejsce na otomanie i, jako pacjent, pozwolił sobie puls zbadać, a marmozieniem mojem będzie, ażeby wszystkie moje otomany przez chorych zajmowane były”.

— Bardzo dowcipnie! — powiedziałam.— A pan, panie Gustawie! jaki pański ideał życia?

Zamyślił się, smutny uśmiech przemknął mu po twarzy.

— Ideł mój niejasny, sam go niewyraźnie widzę przed sobą,—odparł.—To ukazuje mi się czystym, jak lazur niebieski, to ciemną chmurą się osłania. Czekam, aż się wyjaśni, aż widnokrąg całkiem się rozwidni.

— Lub zupełnie się zaciemni, — przerwałam.

Czy on mię kocha, czy kochać mię przestał? szepnęłam w sobie i w smutne wpadłam zadumanie.

Nazajutrz przyjechał mój stryj. Był to człowiek uczciwy i majątny. O dziesięć lat od ojca mego młodszy, pod wielu względami różnił się od niego. Od dłuższego czasu w większym mieszkając mieście i będąc zmuszony częste i dalekie przedsiębrać podróże, uległ mimowolnie prądowi czasu, pozbywszy się wielu przesądów i jaskrawych cech żyda ortodoksy. Ubierał się więc po europejsku, mówił z niemiecka i często z odsłoniętą w pokoju siedział głową. Śród spółwyznawców uchodził przeto za postępowca, choć o postępie i oświacie najfałszywsze mając pojęcie, lubił często ich znaczenie w życiu wyszydzać i negować. Zdolny kupiec, w pełnieniu obowiązków fachowych widział jedyny cel i zadanie, o szersze, społeczne idee nie troszczył się wcale. W gruncie uczciwy i hojny, tyranem też umiał być i sknerą, a tam, gdzie widział możność wywierania swej władzy, bezwzględnie domagał się poszanowania i uległości.

Przywitał nas z niekłamanem uczuciem. Śnać śmierć ojca boleśnie go dotknęła, bo głos jego był drżący i łzami wezbrany. Niebawem jednak się uspokoił. „Ha! nic to nie

pomożeⁿ,—przerwał;—należy o żyjących pamiętaćⁿ.

Zaczął więc mówić o zasobach naszych pieniężnych, a przejrzawszy pozostałe po ojcu papiery i rachunki, oparł czoło na dłoni i zamyslił się głęboko. Snać kombinował za i przeciw, rozważał szanse i możliwe straty, poczem, zreasumowawszy wszystko, zaproponował matce na założenia sklepiku pożyczkę pokaźnej dość sumki, której wypłatę w miesięcznych wymawiał sobie ratach. Dodał niektóre jeszcze szczegóły, oraz potrzebnych do prowadzenia interesu udzielił skazówek. Matka moja ze łzami wdzięczności przyjęła tę ofiarę, nie szcędząc za to stryjowi miana dobroczyńcy i zbawcy, co widocznie wiele mu schlebiało.

Reszta dnia na wspólnej zeszła naradzie. Pod koniec wieczora stryj mój, odzyskawszy zupełnie humor, zaczął się ze mną przekomarzać. Dowiedziawszy się od matki, że główną moją rozrywkę stanowią książki, jął dowodzić, że nauka pannie niepotrzebna, że przedewszystkiem powinna ona znać się na kuchni i gospodarstwie.

— Po co to zawracanie głowy? — mówił, zwracając się do matki.—Dziewczyna wyjdzie za mąż i będzie matką. Zamaż wydać ją należy, już ja się tem zajmę gorliwie.

Nazajutrz wyjechał. Przed wyjazdem taj-

ną z matką moją miał jeszcze konferencję, której przedmiotem ja być musiałam. Co uchwalili, pozostało tajemnicą dla mnie, ale wzrok matki dnia tego jaśniał spokojem i nadzieją.

Tygodnie mijały, a życie jednostajnym wciąż sunęło trybem. Z całym zapałem objęłam nowy obowiązek nauczycielski, usiłując należycie zeń się wywiązać. Niezrażona gorzkimi słowami, jakimi Paulina wyraziła pogląd swój na zawód ten, szczerze zajęłam się młodemi swemi uczennicami. Przedewszystkiem starałam się zdobyć ich zaufanie, co mi się w części udało. Często jednak spostrzegałam, że z niewiarą przyjmowały niektóre moje zdania i objaśnienia, jako z dotychczasowemi ich pojęciami niezgodne i usiłowały ze swojej strony mnie o mylności poglądów moich przekonać. Nie oburzałam się jednak. Wierzyłam mocno, że dobre moje chęci nieufność ich z czasem rozproszą i dobrej sprawie zwycięstwo zapewnią, — a wierzyłam tem mocniej, że umysły niektórych moich uczennic rozwijały się szybko, dodatnio. Miałam ich kilka. Dziewczynki to były roztropne i zdolne, największem jednak zadowoleniem napełniały mię postępy najmłodszej z nich, Brajny, którą uczyłam bezpłatnie.

Dziecko ubogich, a liczną dziatwą obar-

czonych rodziców, rzadką miała pamięć i zdolności. Gdy ją poraz pierwszy zobaczyłam, rodzice jej bowiem mieszkali w sąsiednim domu, na poddaszu,—uderzył mię wyraz jej twarzyczki ruchliwej i spojrzenia, co sprytem i ogniem tryskało. Obierała kartofle, a nóżką kołysała śpiącego braciszka. Żal mi się zrobiło biednego dziewczęcia i poczułam chęć w wydzwignięcia go z ciasnej sfery i podniesienia ku innej, światlejszej. Zapytałam, czy chciałyby się uczyć, na co czarne jej oczy żywszym błysnęły blaskiem, a główką śmiało dała znak potwierdzający. Odtąd codziennie do mnie przychodziła i uczyła się pilnie, z uwagą. Rodzice jej nie mieli przeciwko temu. Biedni ci ludzie byli radzi temu, gdy ich zapewniłam, że córka, po skończeniu kiedyś gimnazjum, będzie mogła pracować i byt sobie zapewnić.

Cieszyłam się więc bardzo z postępów Brajny, w których widziałam rękojmię przyszłego jej w życiu powodzenia. Myśl przytem, że wpływam dodatnio na umysł ludzki, że go nawracam ku światłu, życie moje podnioslejszą jakoś napełniała treścią. Czulałam się cała przejęta swoją misją i, nie szczędząc czasu, kilka godzin dziennie pupilce swojej poświęcałam. Powagą zadania przejęta, nie zważałam zrazu na to, że Paulina, ile razy zastawała mię z dziewczyn-

na, złośliwe na mnie rzuciła spojrzenie, monotonnie pospiewując, lub palcami po szybie bębniąc nerwowo. Humor jej w ostatnich czasach posepniał coraz bardziej, a słowa większem tchnęły zwątpieniem i sarkazmem.

— Czego chcesz od biednego tego dziewczęcia?— zagadnęła mię wreszcie razu pewnego gdy, wszedłszy do pokoju, zastała mię i Brajnę nad książką,—co pastwisz się nad, życie jej patrzysz?

Patrzałam na nią zdumiona, nie rozumiejąc wcale słów jej.

Dziecko tymczasem zebrało książki i zeszyty i wyszło z pokoju.

— Zdaje ci się, że się poświęcasz,— ciągnęła dalej;— że wielką misję spełniasz, gdy dziecko ubogich rodziców, dziecko niewinne, z rodzinnej jego wyrywasz sfery i do obcego wprowadzasz świata; gdy mu mówisz o nieznanych rzeczach, ukazujesz na nieznanym mu dotychczas prawdy, — zdaje ci się wówczas, iż działasz szlachetnie, bo je do szczęścia, do swobody prowadzisz! Pytam ciebie, gdzie jest szczęście, w czem ty swobodę ową widzisz?

— Szczęście widzę w prawdzie,— odparłam,—a prawda do swobody prowadzi. Trudna to droga, a cel bardzo daleki, lecz dążyć doń winniśmy, choćbyśmy go nigdy doś-

cignąć, nigdy nawet ujrzyć nie mieli. W samym dążeniu, w samym doskonaleniu się przedsmak szczęścia się mieści.

— Nie, Rachelo, mylnie sądzisz, wierzaj mi! Im mniej doskonali, im bardziej zaślepieni, tem szczęśliwsi, tem spokojniejsi. Szczęśliwy ten, kto, wyższej nie rozumiejąc mądrości, w pierwotnej swej pozostaje prostocie. Szczęśliwe młode pachole, co u rodzicielskiego bawi progu, a szczęśliwe, po stokroć szczęśliwe ubogie dziewczę żydowskie, co ciekawego wzroku w inną, bogatszą nie zapuszcza sferę, do obcego nie dąży świata.

— A ty, Paulino, żałujesz li, żeś ten obcy świat poznała?—zapytałam.

— Żałuję, na Boga!—gwałtownie przerwała. — Żałuję i płaczę, że mię wydarto z cichego domu ojca mojego, że rzucono mię na gościniec szeroki, a daleki.—Nauczono mię czytać trochę i kazano poznawać napisy przydrożne, trafić na drogę, która do szczęścia, do drzewa żywota prowadzi. Ja nie namyślałam się. Ufna w skarb swój duchowy, szłam w obranym kierunku dalej, a dalej, szybciej, a szybciej, aż wreszcie po długim chodzeniu, po długich mozolach i trudzie natrafiłam na drzewo żywota, po którego owoc chciwie sięgnęłam. Owoc był soczysty. Zjadłam go więc i kilka innych jeszcze urwałam; lecz niebawem spostrzegłam

że owoc, aczkolwiek smaczny, nie nasycił mnie, pragnienia nie zaspokoił. Zdziwiona, baczniej drzewu się przyjrzałam i na jednym z liści ujrzałam napis: Drzewo poznania. Zrozumiałam przeto, że drzewo poznania drzewem żywota nie było. Kilka jednak owoców do kieszeni schowałam i, niezrażona, sunęłam dalej.

Droga była nierówna, pełna wybojów i ostrych kamieni, w końcu jednak natrafiłam na inne drzewo i śmiało podniosłam rękę, chcąc rumiane urwać jabłuszko. Ale gałąź odskoczyła w górę, a ja z wyciągniętym pozostałam ramieniem. Smutna, czekałam, aż ku mnie się skłoni, lecz czekałam nadaremnie. Natenczas, głodna i spragniona, poczęłam błagać, prosiłam o jedno, najmniejsze, choćby, jabłuszko, o jedno, jedyne.

— A masz-li czem płacić?—zabrzmiał ni-by syk węża i przerażona wstecz się cofnęłam, po chwili jednak tryumfalnie sięgnęłam do kieszeni i owocu z drzewa poznania do- byłam.—„Mam owoc z drzewa poznania”,—dumnie odparłam.

— To mało,—szydlerczo odpowiedziano;—u nas ta moneta nie kursuje; jabłko żywota złotem tylko dukatowem zdobyć można—i z goryczą w sercu od drzewa żywota odeszłam.

Wracałam smutna, zgłodniała. Poprzez

góry i wąwozy, poprzez wyboje i doły, dażyłam napowrót do domu, do stawy grubej i prostej, co mi niegdyś tak bardzo smakowała. Powiodłam okiem wokoło. Wszystko mi się obcem, zmienionem, dziwnem wydawało, a przecie był to ten sam dom, te same ściany i ta sama na stole strawa gruba i prosta. Głodna, zbliżyłam się i ebciwie po talerz sięgnęłam, lecz wnet, zrażona, się odsunęłam,—zapach bowiem niezwykły węch mój uderzył. „Ja tego jeść nie mogę”,—rozpacznie zawołałam; — „mnie innego już pokarmu potrzeba”. A lzy gorzkie potoczyły się po twarzy.

Paulina ciężko odetchnęła. Z twarzą bladą od wewnętrznego wzruszenia, z oczyma zamglonemi, podobną była raczej do lunatyczki, w senne wpatrzonej widziadło. Lecz, gdy znów mówić zaczęła, wzrok jej przytomnym zajaśniał blaskiem, w kątach ust zagrał wyraz bolesny, a w głowie kolejno ostre i rzewne zadrgały nuty.

— Tak, Rachelo! drzewo poznania drzewem żywota nie jest, a pył książek nas nie nasyci, nie zadowoli. My pragniemy żyć życiem pełnem, ziemskim. Pragniemy kochać, łakniemy wzruszeń, rozkoszy i tego wszystkiego, co życiu piękniejszą treść nadaje. Pragniemy oddychać powietrzem własnego ogniska, pragniemy być żonami, matkami.

Czy nauka zastąpić to może? czy zdoła ona przygłuszyć w nas głos serca, o naturalne prawa swe wołający? Nie, nie zdoła nigdy. I w tobie i we mnie i w tysiącu tych innych, co za mamidłem nauki gonią, instynkt płci, własne indywiduum głośniejsze przemawiają, aniżeli wszystkie inne doktryny filozoficzne, razem wzięte. Instynkt ten ozwie się kiedyś i w dziewczęciu tem ubogiem, któremu ty teraz naukę, jako główny w życiu cel, przedstawiś. Ozwie się i wskaże cel inny, bardziej ponętny, bardziej pożądanym. Kobieta poczuje swe powołanie i ogniska rodzinnego zapagnie, a ogniska rodzinnego nie znajdzie. A wiesz ty dlaczego? A wiesz-li, że my, dziewczęta, w ubogim zrodzone stanie, garnąć się do nauki nie mamy prawa, że wraz z posiadaniem odrobiny onej na wieczną bywamy skazane samotność, na wieczne wykołajenie?

Wiedza bogate tylko zdobi dziewice, u nas, niemających, przybiera ona wartość strzępów jedwabnych, które wśród lachmanów żebraka widnieją gdzie niegdzie. Pomimo nich, w nim się żebraka poznaje i ode drzwi odpędza. Tak i z nami. Jesteśmy żebrakami, Rachelo, rozbitkami i życie w opuszczeniu pędzić musimy. Czy wiesz już dlaczego? Dlatego, żeśmy zakosztowały z owocu poznania, że nam się oczy roztworzyły i w cias-

nym, rodzinnym zakątku żyć nie potrafimy już teraz. My życie inaczej rozumiemy, szczęścia szukamy w owym świecie, do którego nas wychowanie usposobiło, a książki wprowadziły--a świat ten drzwi nam przed nosem zamyka, wołając, że za wejście płacić trzeba! A my płacić nie możemy, majątku nie mamy, ubogie bowiem jesteśmy dziewczęta. Stokroć uboższe jeszcze, że odczuwamy swe ubóstwo, a oswoić się ze stanem rzeczy nie możemy. My myślą i uczuciem przyrosliśmy do tego świata, my doń pięścią kołaczemy, bo on nasz! bośmy go duchem zdobyły, umysłem pielegnowały, sercem ukochały. Myśmy przejęły jego obyczaje, naturę i zasady, myśmy się w nim zaaklimatyzowały, w nim tylko żyć już umiemy. Teraz nam drzwi ukazują, od biesiady oddalają i napowrót do ciemnego zakątka pędzą, z kąd nas dziećmi wyrwano i skierowano ku światłu. Pociście nas na ten gościniec rzucili, z objęć matki wydarli po co? Mybyśmy żyły cicho, kołysałybyśmy dziatki nasze, gotowały strawę dla mężów i zasypiały naiwne, jak dzieci. Pociście z rodzinnym rozdwoili nas światem, innej mowy, innej nas wiary nauczyli? My wrócić tam już nie możemy; nie możemy, bośmy tam obce, oni dla nas dżicy.

Zalamała rozpacznie ręce i jęknęła głu-

cho.—Uspokój się, Paulino! — cicho wymówiłam i rękę jej w swoją ujęłam łagodnie.

Szarpnęła ją z mocą, ogień w oczach jej błysnął.—Słuchaj!—rzekła. — Mam lat trzydzieści. Znasz otoczenie, wśród którego dziecinne spędziłam lata. Spędziłam je w niedostatku, w sferze ludzi przesądnych, prostych, i uczciwych.

Z ludźmi tymi żyłam, wierzyłam i modliłam się, — gdy w tem opatrzna ręka mniemanej filantropki z koła tego mię wyrwała i rozleglejsze ukazała tory. Ujrzałam świat inny, poczułam w nim żywsze tętno, pocięłam nową prawdę, a dogmaty stare poszły w zapomnienie.

W siedemnastym roku skończyłam gimnazjum. Byłam przystojna i zgrabna. Koleżanki mię lubiły, bo byłam wesoła i żywa, a starsi, nie szczędząc pochwał, świetny los mi rokowali. Pracowałam już wtedy, jako nauczycielka, ojciec mój bowiem nigdy mającym nie był, a ja potrzebowałam na książki, ubranie, życie. Zajmowałam się też sama, kształcąc się umysłowo, czytając wiele i szłam przez życie spokojna, w poczuciu godności osobistej. Młodsza moja siostra przez ten czas wyszła za mąż za człowieka, równego jej stanowiskiem i wychowaniem, ja, bynajmniej jej nie zazdroszcząc, marzyłam o tem, że na drodze życia swego spotkam

kiedys mężczyznę światłego i wykształconego, dla którego serce moje zabije miłością, a który do nóg mi upadnie i o rękę moją poprosi.

Marzyłam o tem i uśmiechałam się do życia do marzeń moich, do przyszłości. Marzyłam i czekałam. Bogate moje towarzyszki powychodziły zamaż, powyjeżdżały, ja wiary nie traciłam i czekałam. Życie domowe smutne było, jednostajne. Ubóstwo i niedostatek często kołatały o drzwi moje, a walka o byt i kolce zawodu nauczycielskiego raniły mię boleśnie, nieraz do krwi prawie. Lecz wiara boskim promieniem ozlacała szare godziny i jasną, przyszlą dobę rokowała.

Lata mijały. Stopniowo, z biegiem onych traciłam humor i swobodę, a listek po listku opadał z kwiatu marzeń i nadziei. Wiara uleciała, a zwątpienie jej miejsce zajęło. Złudzenie nie od razu jednak pierzchło, nieprędko prawda stanęła mi przed oczyma. Walczyłam długo, nim do niej doszłam, nim całą sytuację pojęłam. W końcu pojęłam ją całkowicie.

Zrozumiałam, dla czego żaden z młodych tych ludzi, co towarzystwa mego chętnie nawet poszukiwać się zdawali, nie pokochał mnie, o rękę nie poprosił, czy wiesz dla czego? Bo ubogą byłam dziewczyną, bo posagiem za miłość płacić nie byłam w sta-

nie... Ty się zżymasz, a przecie ja nie przesadam. Światła nasza młodzież za posagiem tylko goni, w nim widzi potęgę i główną zaletę kobiety, a na rozwój jej umysłowy najmniejszej nie zwraca uwagi, bo cenić umie jedynie to, co kursowi brzęczącej monety dorównywa.—Owe piękne wygłaszane zdania o wolności i godności kobiety, któremi mówcy tak chętnie się popisują, — są to czeze słówka tylko, nie mające najmniejszego znaczenia; bo gdzie owa wolność i godność, skoro najwyższem prawem, największą godnością jest posag i posag jedynie.— W świecie, gdzie prawo owo przeważa, może ubogie dziewczę spodziewać się innego losu, aniżeli smutnej, bezbarwnej przyszłości i wiecznego staropanieństwa? Nie powinnaż zatem żałować dawnego, cichego świata, owych przesądów nawet, wśród których bez głośnych walk i ciężkich zawodów życie by jej przeszło spokojnie, jak życie tych wszystkich, co z po za ramki swego światka w inny, rozleglejszy nie spojrzeli?

— Ale zapominasz, Paulino, — przerwałam wzruszona, — że nie w małżeństwie tkwi jedyne cel kobiety, jedyne jej powołanie. Nauka rozwidnia przed nami szersze horyzonty, ukazuje na inne obowiązki, które życie wypełnić mogą. Szczęście rodzinne piękne, wiem o tem, lecz nie masz że innego portu, do

którego kobieta przed burzą życiową schronićby się mogła?

— Niema, u nas go niema!—z goryczą odrzekła. Jakie bowiem społeczne obowiązki pełnić ona może? gdzie są owe cele, do których jej dążyć, po które sięgać wolno? Odpowiedz!

Milczałam, bo nie mogłam słów znaleźć, bo w głębi serca głos cichy, a smutny szepotał uporczywie: Ona prawdę mówi.

— Niema nic, nic nam nie pozostaje—wołała zapamiętała, — nie, prócz nienawiści, jedynej zemsty ugodzonej duszy.

— Nie twojej, Paulino!—poruszona odparłam.—Dusza twoja do podobnej zemsty nie zdolna, tyś szlachetna!

Wargi jej zadrgały, a nozdrza mocniej się rozděły.

— Nie, nie jestem, — złamanym od wewnętrznego wzruszenia odparła głosem; — bo życie mię zawiodło, bo zgorzkniało we mnie wszystko, bo wszystko we mnie znudzone, o spoczynek woła, o sen wiekuisty... A jednak, Rachelo! młodość i życie... jakież to piękne być musi! jakież to piękne... żyć i kochać!

I twarz w dłonie ukryła.

Ostatnie jej słowa, jak jęk skazańca tęniały w powietrzu, budząc echo smutne, żałośnie. Był to jęk żywcem jakby pogrzeba-

nego serca, steranej piersi; brzmiał w nim protest dziki, namiętny, skarga tęskna, bolesna.

Siedziałam długo po odejściu Pauliny, nie mogąc się uspokoić. Słowa jej, jak groźba, rozlegały się w moich uszach, jak przepowiednia. Dłońmi przyciskałam skronie, zatykałam uszy, lecz brzmiały i brzmiały nieprzerwanie, a postać Pauliny migotała w przestrzeni z posępnym w oczach wyrazem i gorzkim na ustach uśmiechem.

Siedziałam zadumana. Myśli rojem powstawały i znikwały. Coś mi szeptało, że i ja gorzkimi łzami oplakiwać kiedyś będę swą młodość i zawiedzione nadzieje, że, zgorzkniała, od ludzi się odwrócę i we własnym zasklepię egoizmie. Że przestanę wierzyć w dobro i piękno, że bluźnierczemi usty wyszydzac poczną idee, hasła i ideały, że pustka, pustka najzupełniejsza mię otoczy.

Zima srożyła się na dobre. Poprzez szyby upstrzone słabę do pokoju wnikało światło, a na dworze śnieg dużemi padał kłębam. Poglądałam często na огоłocone z liści drzewa, na aleje, białym zimy kobiercem usłane. Ogródek przedstawiał obraz znikomości i ruiny, a ulubiona altana, cała warstwa śniegu zasypana, wyglądała, jak duży, lodowaty nagrobek.

Patrzałam na ten obraz i żal mi było a

gołoconych gałęzi, żal mrozem zwarzonej trawki i bujnego kwiecica, którego żywa barwa tak niedawno jeszcze oto zachwytem przejmowała. Wszystko uleciało i znikło: wiosna i ptaki, kwiaty i promienie—czy na zawsze znikło, na wieki uleciało?

Głuchy głos w sercu szeptał: Tak samo nadzieje twoje opadną, jak te liście, co się po śniegu wałają gdzieniegdzie. Równie jak i one, uczucia twe zdrewnieją i szronem egoizmu cię pokryją.

Smutne trawiłam dni i tygodnie. Troski się mnożyły, a zwątpienie wzrastało. Znikąd wieści; sytuacja stawała się nieznośną, przeciwności jeżyły się na każdym kroku.

Od stryja nadchodziły listy coraz natarczywsze. Zawierały one pochwały i opisy młodych do ręki mojej kandydatów, z których każdego z osobna na odpowiedniego dla mnie małżonka zalecał. Przedstawiał rodowód, stan majątkowy, dla większej zaś zachęty kładł nacisk na gładkie maniery swego protegowanego. Po każdym nowootrzymanym liście wzruszałam lekko ramionami i z niechęcią wracałam do swego pokoju, nie chcąc usłyszeć zapytania matki, nie chcąc błagalnego jej ujrzeń spojrzenia, jakim każdy raz gonila za mną. Brakło mi odwagi na rozwianie jej przyjemnych marzeń i nadziei, brakło odwagi na wypowiedzenie tych

słów: Matko! nie łudź się, daj pokój planom! ja na nie nie przystanę, bo serce i słowo raz już oddałam. Natomiast przez stryja do muru przyparta, zwykłego w takich razach użyłam wybiegu i odpisałam, że, nie znając i nie kochając młodego człowieka. wyjść za niego nie mogę.

Pewnego pięknego popołudnia przyjechał, zupełnie dla nas niespodzianie, stryj mój, a przywitawszy nas życzliwie, po wstępnych zaraz, wzajemnych zapytaniach, oświadczył, że przyjechał z młodym owym człowiekiem, o którym ostatnio pisał, a który pragnął poznać mnie osobiście.

Obejrzałam się niespokojnie poza siebie, lecz stryj mój z filuternym powiedział uśmiechem, że młody gość zajechał do hotelu, by podróżne zmienić ubranie i niebawem też nadejdzie. Był w najlepszym humorze, żartował, prawił mi komplementy, ja zaś z trudnością mogłam w sobie gniew stłumić. Matka moja promieniała i raz wraz poglądała ku drzwiom. Wreszcie roztworzyły się one i wszedł—młody człowiek wyelegantowany, ubrany nawpół po europejsku, nawpół po żydowsku, w kapeluszu na głowie, długich pantalonach i nawpół długim surducie, w sztywnej, krochmalnej koszuli, oraz skrzypiących butach. Jasnorude włosy i także same wąsy okalały mu twarz, która nosiła

na sobie wyraz zadowolenia i dobrego o sobie mniemania.—Stryj głośno go przedstawił, młody człowiek podał mi rękę. Ręka była spocona, mokra prawie, i z obrzydzeniem swoją prędko cofnęłam. Wszyscy usadowili się wokół. Staralam się być uprzejmą, by stryja zawczasu nie gniewać. Czułam aż nadto, że wkrótce walka między nim, a mną stanie się rzeczą nieuniknioną; nie chciałam przeto zawczasu w drobne wstąpić z nim utarczki i kolizje.

Wszczęła się rozmowa. Młody człowiek, chcąc w najlepszym zalety swe przedstawić świetle, usiłował zająć mnie rozmową. Mówił górnolotnie, tonem sentymentalnym, ze słodkim, miodowym uśmiechem. Przytaczał Szylera, Heinego, Lessinga, Borna, Sue'go i Dumasa. Najbardziej podobała mu się „Błada hrabina“, bo tyle tam zbrodni, morderstw, że „aż dreszcze przechodzą“. Wypowiedział też kilka uwag, wielkiej znajomości sztuki kulinarnej dowodzących, poruszył kwestję kobiecą, którą to ostatnią bez wielkiego nateżenia umysłu rozstrzygnął w ten sposób, że „kobieta jest królową, panią nad panami“. Nie przerywałam mu, odpowiadając zaledwie półsłówkami.

Po kolacji stryj do drugiego zaprosił go pokoju na pogawędkę, której bynajmniej ciekawą nie byłam. Musieli sprawę moją

praktycznie omówić, bo dolatywały uszu moich urywane słowa i cyfry, z których mogłam wywnioskować, że o pieniądzach była mowa. Tego samego jeszcze wieczora wyjechali, a przed wyjazdem mniemany ów pretendent rękę moją mocniej uściśnął, tak, że cała w dłoni jego zwilgotniała, i z naciskiem, nawpół głośno powiedział: Do widzenia! — Stryj zaś, żegnając mię, szepnął pocichu.

— Spodobałaś mu się, Rachelo! Jedzie on do domu, by z rodzicami pomówić i przedstawić im cały stan rzeczy. Prawdopodobnie zechcą oni zasięgnąć o tobie informacji, które, ma się rozumieć, korzystnie przecie wypadną... Nie długo przeto, ptaszku, panińskiej użyjesz swobody, zwiążemy ci skrzydła i oddamy mężowi. No, bądź tylko dobrej myśli, wszystko pójdzie gładko. Wszak ci się spodobał, nieprawdaż?

I nie czekając odpowiedzi, musnął mi w przelocie czoło wargami i podążył za swoim towarzyszem.

Po ich wyjeździe wpadłam w głęboką zadumę. Czułam się pokrzywdzoną. Zabiegi stryja, postawa młodego człowieka, banalna jego rozmowa,—wszystko to wstręt budziło we mnie. Najbardziej niepojęta była dla mnie zabieglivość stryja, a najbardziej gorszącym — sposób, w jaki ją przeprowadzał. Jakżeż śmiał tak postąpić?

Wbrew memu życzeniu sprowadza człowieka, którego nicość moralna aż nadto bije w oczy i na męża mi go narzuca! Czemu ja jestem, że pozwala sobie za zależny, jakoby, od niego przedmiot mnie traktować? Nie rozumie więc, że kobieta też czuć może, że sprzedajnym towarem nie jest?

Krew wrzała mi w żyłach. Dotknięta w miłości własnej, szukałam w myśli rady i wyjścia z niemilego tego położenia. Pragnęłam wyzwolić się z pod opieki stryja, dowieść mu, że nie jestem szkapiną, którą się na targowisko wywozi, że jestem wolną, niezależną, że władzy nad mojem sercem nie przysądzę mu nigdy.

Lecz, gdy znowu rozważać poczęłam walkę, jaką stoczyć mi wypadnie, gorzkie wyrzuty i gniew stryja, łzy matki,—natenczas, bezsilna, w niemej rozpaczycy załamywałam ręce z głuchym wybuchem: kto mię wesprze, kto pomocy udzieli?

We dwa tygodnie po wyjeździe stryja, w ciągu których matka moja niecierpliwie listu z pożądaną czekała wieścią, ten nadszedł wreszcie. Lecz przeczytawszy go, matka zbladła i załamała ręce. List zawierał uszczypliwe stryja uwagi co do wychowania mojego, emancypacji i tym podobnych, jak je nazywał, rzeczy, które sprawiły, że rodzice młodego owego człowieka, zasię-

gnąwszy o mnie w mieście naszym wiadomości i dowiedziawszy się, że „uczona” byłam panną, konkury syna swego cofnęli i nie więcej o mnie słyszeć nie chcieli. Czuć było w tonie listu urazę najwyższą, jakby mnie stryj chciał odpowiedzialną uczynić za doznaną przezeń porażkę.

O ile z jednej strony rada byłam rozwiązaniu tej przykrej dla mnie zkądinąd kwestji i wdzięczną byłam młodemu owemu człowiekowi za nagłą jego rejteradę, pobudka jednak, jaka go do onej skłoniła, dziwną, a niemniej smutną mi się wydawała. Ironiczne uwagi i wnioski, jakie stryj w liście swoim wygłaszał, odsłaniały przedemną nową, nieznaną jeszcze kartę z dziejów losu emancypowanej poniekąd dziewicy izraelskiej, odsłaniały niechęć i przesady, ciągle jej towarzyszące, prześladowające ją wszędzie.

Coraz więcej się rozwijałam i dojrzewałam w smutnej praktyce życia. Wypadki zwykłe, codzienne, głębszych jednak nieraz dostarczały mi myśli i uwag. Przywykłam nad wszystkim się zastanawiać, wszystko krytycznie rozbierać i coraz bardziej w sobie się zamykać.

Nieraz, gdy mroźny na ulicy wiatr całe warstwy śniegu w górę podrzucał, ja na godzinę schodziłam do sklepu, bo w mieszkaniu samej jednej było tak smutno, i w wi-

doku kupujących szukałam rozrywki i zapomnienia. Zazwyczaj w sklepie większy był ruch, aniżeli w mieszkaniu. Ludzie wchodzili i wychodzili, oglądali towary i pytali o cenę. Nieraz po załatwieniu zakupów zatrzymywali się jeszcze, siadali i poczynali opowiadać o własnych, lub sąsiadów swoich stosunkach, o dolegliwościach tychże, lub własnych dziejach i zgryzotach. Odślaniano w ten sposób tajemnice przyjaciół, omawiano ich życie, stan majątkowy, rodowód; żalowano, lub też ryczałtem potępiano.

Dziwiłam się nieraz naiwności, z jaką ludzie, do ciasnej sfery należący, w swoją nieomylną wierzili. Z powagą mędrca najważniejsze życiowe rozstrzygali zagadnienia i bez najlżejszego wahania swoje stawiali postulata. Mówiąc o bogatych, ubogich, szczęśliwych, lub prześladowanych, zrazu objaśniali przyczynę, która pierwszych do bogactwa, a drugich do niedoli doprowadziła, a przyczyna ta według nich tkwiła w pobożności tamtych i wolnomyślności tych. Nieraz niedowiarstwo swoje żywym słowem, lub niewyraźnym zdradzałam uśmiechem, natenczas szyderczy ścigał mię wzrok, w którym czytać łatwo było: I ty do odszczepieńców należysz, ciebie kara Boża też nie ominie.

Dnia pewnego w taki sam właśnie, wyżej opisany sposób dowiedziałam się o ban-

kructwie i majątkowej ruinie państwa Glas. Wiadomość ta zrazu wydała mi się tak nieprawdopodobną, że skłonna, byłam raczej posądzić ludzi o oszczerstwo, o umyślne rozsiewanie pogłosek, honorowi państwa Glas uwłaczających. Lecz niebawem przypomniałam sobie smutne tych ostatnich twarze, posępny humor i — wątpić dłużej niepodobna było.

— To są skutki bezbożności i pychy — wołano zapalczywie. — Gdyby byli żyli, jak praojcowie nasi, jak my wszyscy, z pewnością by do tego stanu nie doszli. Do czego ta fanaberja? Urodziłeś się uczciwym żydem, to i dzieci swe w godziwy, uczciwy wychować powinienes sposób, lecz nie błaznów z nich robić, arlekinów. A to, Boże, zmiłuj się! córkę na dworską, mamzelę wykierowali, po francuzku szwargocze; synalka zaś na cyrulika kształca, na fanarona. Och, zgorzenie! Widziałam na własne oczy, jak w sobotę cygaro palił, czy za podobne czyni Pan Bóg nie karze?

Ozwały się potakiwania i uwagi, a ja siedziałam jak na rozżarzonych węglach, wsłuchując się w dalsze szczegóły, dotyczące bankructwa państwa Glas.

— Tak, zupełnie zrujnowani, — odezwała się jedna ze zgromadzonych w sklepie osób, otyła żydówka, stała matki mojej kundmanka. — Nic im nie pozostało, bo wierzyście

wszystko zabierają. Podobno od roku gonili już ostatkami, lecz hardo nadrabiali mi-
ną, chcąc pozory dostatku zachować. Szło im przedewszystkiem o to, by bogatego dla córki swej upolować męża, co im się też istotnie udało. Jednak źle by na spekulacji swojej wyszli i panna z pewnością osiadła by na koszu, pomimo te tam modne ich amory, gdyby brat pana Glas, znany w Warszawie bogacz, nie wziął na siebie jej wyposażenia.

Dość już słyszałam; rozdrażniona wyszłam ze sklepu.

W mieszkaniu zastałam Paulinę, przechadzającą się szybkim krokiem tam i nazad.

— Paulino! — zawołałam, — co za nieszczęście, państwo Glas zrujnowani, stracili wszystko!

Spojrzała na mnie ironicznie i lekko się skrzywiła.

— Bardzo mało mnie to wzrusza, — odparła.

— A mnie boli, — zawołałam. — Wszak są to ludzie, do dostatków nawykli, szlachetnie urodzeni...

— Niechaj zatem ubóstwo szlachetnie znosić usiłują, — ostro przerwała.

— Są to ludzie starzy, — ciągnęłam dalej; — są to...

— Przestań! — zawołała, — nie roztkliwiaj się zbyt nad stanem innych, bo lep-

szych warunków nie widzę ani w twojem życiu, ani w mojem własnem. Czy posiadasz ty majątek, bez którego obejść się oni nie potrafią? Czy większemi cieszą się ja dostatki, aniżeli te, jakie oni obecnie mieć jeszcze mogą? Andzia za mąż wychodzi, stryj ją wyposaża; Gustaw medycynę kończy, doktorem zostaje, przeto i starym coś się dostanie. Gustaw bowiem niechybnie się ożeni, a że za dyplom doktorski grube płacą pieniądze, zatem i rodzicom część z posagu się okroi, za jaki on serce swe i rękę sprzeda.

— Milcz! — zawołałam wzburzona,—nie-
nośną jesteś.

— Dlaczego?—zapytała;—co w tobie ta-
ki niesmak budzi?

Nie odpowiedziałam. Ona popatrzała na mnie wzrokiem badawczym, poczem podeszła do okna i swoim zwyczajem zawzięcie po szybach bębnić zaczęła.

Przysunęłam sobie książkę i bezwiednie ręką przerzucać zaczęłam kartki, nie rozumiejąc, nie czytając ich wcale. Myśl gonila daleko, cofała się w przeszłość, sięgała w przyszłość, daremnie usiłując mrok jej rozjaśnić.

Nagle cała się zatrzęsłam. W książce leżał list, po którego piśmie poznałam rękę Gustawa. Schwyciłam go uburącz i do oczu podniosłam.

Niepokój najwyższy mię ogarnął. Czułam, że zbliża się decydująca chwila, że wkrótce rozstrzygnie się wszystko.

Paulina na szelest, papierem sprawiony, odwróciła się od okna.

— Zapomniałam ci o tym liście powie-dzieć,—rzekła.—Na schodach spotkałam listonosza, który prosił, ażebym ten list dla ciebie przyjęła; a że nie zastałam ciebie w pokoju, wsunęłam go do książki, o czem na razie, w chwili twego wejścia, nie pamiętałam. Teraz dobranoc ci!

Zmieszana, odprowadziłam ją wzrokiem, a skoro się za nią drzwi zamknęły, z bijącym czytać poczęłam sercem.

„Rachelo!

Smutny i znękany chwytam za pióro, by oznajmić ci o moich — zaręczynach. Jestem nieszczęśliwy; rodzice moi zrujnowani, musiałem się zaręczyć.

Nie znałem świata wtedy, gdy pod gwiazdami usianem niebem, przy tajemniczym szeleście drzew, wyznałem ci poraz pierwszy moją miłość. Rajem mi się zdaleka być wydawał, krainą szczęścia i roskorzy, a życie we dwoje — sielanką. Wkrótce jednak poznałem go zbliska. Znikł różany obłok, a wykrzywiona maska miejsce jego zajęła.

Poznałem, że raj zdobyć trudno, że ziemia takowego nie posiada, lecz że potem

i znojem zraszać ją potrzeba, by kłos ziarnisty wydała.

Zrozumiałem, że życie i marzenie—są to, dwie wręcz przeciwne sobie strony; że marzyć o tem mogłem kiedyś, iż ukochaną kobietę dostatkiem i bogactwy otoczę, a drogę jej różami uścielę;—lecz że w rzeczywistości o każdą piędź ziemi, o kęs chleba i życia każdą chwilę ciężkie staczać trzeba kampanje. Widziałem dumne urąganie możnych władzców i bólem wykrzywioną twarz słabego niewolnika—i zniechęciłem się, ubóstwo i życiowe zapasy, jakim zazwyczaj podlega ubogi medyk po opuszczeniu ławy uniwersyteckiej. Widziałem ludzi godnych i zacnych, których ubóstwo cześć pozbawiało i honoru, podczas gdy bogatych aferzystów, fałszerzy i łotrów pozorny otaczał szacunek. Człowiek nauki i cnót moralnych ginie w zapomnieniu, a bogacz o bydlęcym umyśle na widownię występuje i głos podnosi. Smutne to dzieje!

Lecz porządek ten trwa i trwać jeszcze będzie długo. I długo jeszcze rozlegać się nie przestanie bachancki śpiew epikurejczyka, obok jęku zgłodniałego Łazarza. Biada Łazarzowi! *vae victis!* Biada tym, co życie w niedostatku i ubóstwie pędzą, co o życia każdą chwilę, o kęs chleba i każdą piędź ziemi walczą z niewolniami w czoła swego pocie.

Rachelo! Takbyśmy i my całe życie walczyć musieli z troską o byt jutrzejszy i mybyśmy ziemię tę potem ciężkim zraszać musieli, lecz jam słaby, nieprzydatny inieszczęśliwy.

Rachelo! daruj. Kocham cię nad życie, ale zaślubić cię nie mogę. Piszę to z sercem, przepelnionem goryczą, w żalu głębokim i niewymownym. Piszę, pełen wstydu i oburzenia na własne niedołęztwo swoje... jam tchórz, jam ciebie nie godzien.“

Nie czytałam dalej. List wypadł mi z ręki, a ja z utkwłonem w przestrzeni pozostałam okiem. Godziny mijały, ja tego nie spostrzegłam.

W skroniach uderzało coś, niby młotem i zar ognisty przejmował mię do szpiku kości. To znów czułam zimno, nawskroś mię przenikające i dotknięcie śmierci twarde, ostre. Zdawało mi się, że statek, na którym płynęłam, rozbicia był blizki, że już, już czarna otchłań pochłonać go miała. Czy go nie od rozbicia nie uratuje? nikt światła w otchłań tę nie zapuści?

Rzuciłam się gwałtownie i ręce wyciągnęłam, niby oparcia szukając. Stolik się przewrócił, a lampa z łoskotem runęła na ziemię. Przerazona podniosłam głowę. Matka moja stała we drzwiach i, przestraszonym wokół tocząc spojrzeniem, o przyczynę nieszczęścia spytała. Byłam odurzona. Patrzałam na

panujący w pokoju chaos, na stolik przewrócony i rozbitą lampkę, a zdać sobie ze wszystkiego sprawy nie mogłam. Przez chwilę zdawało mi się, że wybuch nastąpił, że statek ze strasznym łoskotem w głębinę się pogrążył i przymknęłam oczy, a głowę skłoniłam na poręczy.

Gdy znowu oczy roztworzyłam, zobaczyłam przy łóżku mojem doktora i twarz matki, oblaną łzami. Poruszyłam się niespokojnie. Patrzyłam w twarz tę długo, długo i, w miarę tego, pamięć wracała i rozrzewnienie ogarniało mię coraz większe. Doktor po chwili odszedł. Odetchnęłam głęboko i ujęłam rękę matki.

— Ty otchłań rozjaśnisz przedemną i od rozbicia uratujesz, — szepnęłam cicho, sama w sobie. — Miłość ku tobie będzie talizmanem, co mię od zwątpienia i goryczy uchroni; będzie żywą iskrą, co wierze w sercu mojem wygasnąć nie da. Będę żyć i pracować dla ciebie, dla mnie i dla innych,

— Rachelo! co ci jest? — niespokojnie zapytała matka.

— Nic, nic, mammo! już nic.

Znużona, ledwie nad ranem usnęłam.

KONIEC.

INSTYTUT
BADAŃ LITERACKICH PAN
BIBLIOTEKA
00-330 Warszawa, ul. Nowy Świat
Tel. 26-68-63



F

22.404